



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz pełitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

O POWOLANIACH KOBIETY.



DOZORCZYNIE CHORYCH.

Zbadanie chorego, postawienie dyagnozy, przypisanie odpowiednich środków kuracyjnych, oto zadanie lekarza; przypisy jego jednak muszą być ściśle wykonane, a chory sam czuć nad sobą nie może, potrzebuje ustawicznej opieki i niezmiernie troskliwego dozoru. Troskliwy dozór, to najpotężniejszy sprzymierzeniec lekarza.

Z samej natury rzeczy wypływa, że gdy o kogoś chorego w rodzinie chodzi, matka, żona, siostra, czy jaka bliska krewna, biorą na siebie obowiązek pieczołowitego dozoru, ale co mają począć setki ludzi samotnych, legiony nędzarzy, gdy ich niemoc i cierpienie do łoża boleści przykują? Kto nad nimi roztoczy opiekę, kto we właściwym czasie poda lekarstwo, zmieni opatrunki, kto poprawi posiłek, przyniesie posiłek? Kto wśród bezsennej nocy spieczoną gorączką usta napojem ochłodzi, a w duszę uciśnioną, trwożną, wleje słowa pociechy i otuchy?... Kto?... kobieta.

Kobiety-dozorkczynie chorych, dzielimy dziś na dwie kategorie, na dozorkczynie o zakonnym charakterze, siostry miłosierdzia i dozorkczynie świeckie.

Już u jednego z Ojców Kościoła spotykamy słowa: „Dusza kobiety dostępniejszą jest mi-

łosierdziu, niżli dusza mężczyzny. Świątobliwym niewiastom udziela Bóg szczególniejszych łask, pozwalając im pocieszać nieszczęśliwych i łagodzić cierpienia chorych.“

W zamierzchłej przeszłości, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, obok dyakona (sługi lub dozorey) spotykamy i dyakonisę. Obowiązki jej polegały na kształceniu katechumenek, ubieraniu i rozbieraniu kobiet, przystępujących do chrztu, na odwiedzaniu chorych i biednych, pilnowaniu zachowania się kobiet w kościele i t. p. zajęciach.

Z biegiem czasu odsunięto kobietę od służby kościelnej, dyakonisa przekształciła się w zakonnice, i prócz licznych, religijnych praktyk, którym się oddawała, poświęcała zazwyczaj resztę swego czasu biednym, chorym i dzieciom.

Przez długie wieki, dobrowolnie poświęcające się dla nędzy ludzkiej i niedoli, chrześcijańskie miłosierdzie zachowywało, że się tak wyrażę, charakter niejako prywatny, szeroką swą działalność rozciągając nad licznymi, lecz pojedynczymi wypadkami. Środowiska nędzy i chorób, szpitale i przytulki, rzadkimi i nader dalekimi od naszych obecnych wymagań i pojęć były zjawiskami. Litościwy Samarytanin sam wyruszał na poszukiwanie biednych, a pobożne owe wędrowki nieraz wymagały tak nadludzkich sił fizycznych, jak i nadludzkiej siły ducha.

W ucywilizowanych, chrześcijańskich społeczeństwach, w miarę wzrostu kultury, coraz wzorowiej zorganizowane szpitale ukazywać

się poczęły, a przy łożu chorego stanęła siostra miłosierdzia.

Historia działalności kobiety świetnie poostawi świadectwo niepożytych jej zasługom, jako opiekunki chorych. Zdania najpoważniejszych lekarzy godzą się, że: „pracowitość, równość i pogoda usposobienia, szybkość, zręczność, trzeźwość, czujność, lekkość i cichość chodu, subtelny zmysł spostrzegawczy oraz tklive, niedoli współczujące serce, czynią kobietę idealną opiekunką chorych. Pod tym względem mężczyzna nigdy jej nie dorówna. Do pracy, wymagającej wielkiej cierpliwości obok zręczności i lekkości ręki, bywa mało uzdolniony i znudzony rychło. Kobieta, zwłaszcza wpośród warstw ludności pracującej, ma nierównie silniej rozwinięte poczucie porządku, ładu i czystości i tylko ręka kobiety umiejętnie z chorym obchodzić się potrafi. A jak dodatnim wpływem zaznacza się działalność sióstr miłosierdzia w szpitalach dla dzieci, gdzie zaufanie i miłość tak wielkiej lekce dodają mocy, o tem zbytecznie chyba rozpisywać się szeroko.

Idźmy dalej. Wśród huku dział i świstu kul widzimy siostrę miłosierdzia, pochyloną nad konającymi i rannymi. I tam spełnia święte swe posłannictwo, koi cierpienia lub ostatniem chrześcijańską miłość słowem żegnania duszę, ulatującą w pozagrobowe światy. Słabe, skromne istoty, gotowość poświęcenia się i miłość bliźniego zamieniają w olbrzymów ducha, a nawet i fizycznej siły.

A czy mniejszem jest bohaterstwo siostry

miłosierdzia w czasie straszniejszych jeszcze od wojny, epidemii? Dobrowolnie, i ze zrozumieniem grożącego jej niebezpieczeństwa, czyni ofiarę z własnego życia. Wie doskonale, co jej grozi, pojmuje cały ogrom spadających na nią, trudnych, nad wyraz wszelki uciążliwych, często odrazą przejmujących obowiązków, a przecież nie było wypadku, aby siostra miłosierdzia przed zarazą ratowała się ucieczką.

Zdawaćby się mogło, że w szpitalach, zapelnionych przeważnie chorymi, należącymi do niższych warstw społecznych, czuła, delikatna kobieca opieka nie może być ocenioną. Mniemanie to jednak byłoby z gruntu mylne, albowiem i w najtwardszych warunkach życia pozostający człowiek, w chorobie częstokroć staje się tkliwym, jak dziecko, i żądnym właśnie owego dobra, którego mu twarde poskapiło życie. Zresztą, zdarza się często, iż w szpitalach, bądź to w wypadkach choroby zakaźnej, bądź wymagającej operacji, przebywają ludzie sfer inteligentnych, tym zaś, gburowatość posługacza i brak serdecznej, dobrocią tchnącej opieki, przypominającej dom rodzinny, czyniłyby pobyt wprost rozpaczliwym.

Przy pielęgnowaniu mężczyzn musi, rzecz naturalna, pomagać „szarytce“ posługacz, lecz strona moralna i wykonywanie ściśle przypisów lekarza, obcowanie z chorym, stanowią niepodzielną dziedzinę jej działalności. Służba przy chorych, czy to w szpitalach, czy nawet w domach prywatnych, spełnia zaledwie drobną cząsteczkę olbrzymiej pracy siostry miłosierdzia.

Ona walczy z nędzą i brudem w przytułkach, wnosi światło wiary, miłości i moralnego odrodzenia do schronień i domów poprawy, czuwa nad działywaniem nędzarzy i nad upadłymi dziewczętami. Cicha, pogodna, w niewyczerpanej skarbnicy Chrystusowej miłości czerpie dla biedaków ulgę w bólu i pociechę w smutku, koi, uzdrawia słowem i czynem.

Na głowie siostry miłosierdzia spoczywa też w szpitalu ład materyalny i porządek. Zarówno chorych, jako i zdrowych pod władzę jej oddanych, musi umieć w należytej utrzymać karność.

Jeżeli nadto weźmiemy na uwagę, że olbrzymia ta praca jest zupełnie bezinteresowną, że Zgromadzenie zaspakaja siostrze jedynie skromne potrzeby życia i że jej nic od chorego przyjmować nie wolno, musimy pochylić czoła i przyznać, że taka praca zasługuje na uwielbienie.

Ideałowi siostry miłosierdzia odpowiadająca kobieta, nie może i nie powinna pozostać obojętną na postęp cywilizacji, albowiem stygmat czasu zaznacza się jeszcze wyraźniej na chorych, niż na zdrowych ludziach. Siostra miłosierdzia, zarówno jak i lekarz, kierownik jej w dozorowaniu chorych, z przejawami psychologii ludzkiej, wciąż mają do czynienia. Każdego z chorych z osobna zrozumieć trzeba, z każdą naturą liczyć się należy.

Zanim kobieta tak trudnemu poświęci się powołaniu, powołaniu, którego istotą jest bezgraniczne zaparcie się siebie i wyrzeczenie się wszystkiego, co w ludzkim pojęciu daje szczęście doczesne, powinna długo i sumiennie badać swoją duszę. Czysto ziemskie cierpienia,

strata rodziców, zmiana materyalnego położenia, śmierć czy zdrada ukochanego, nie powinny być powodem do szukania pociechy i zapomnienia w szczytnym zawodzie siostry miłosierdzia, powód taki, jeśli nie zawsze, często zawiesić może. Niechaj tego rodzaju cierpienia leczy najskuteczniejszy lekarz, czas,—a potrzeba czynu, zagłuszającego jęk duszy, da się zaspokoić i na innych polach pożytecznej dla społeczeństwa pracy.

Powołanie siostry miłosierdzia winno przede wszystkim wypływać z wielkiej, duszę przepelniającej miłości Boga i bliźniego. Na ołtarzu obowiązku siostra miłosierdzia składa swe serce, w którym panować mają tylko: Bóg i cierpiąca ludzkość.

Wzniosła, lecz tak trudna i ciężka praca szarytki niewłaściwą i po prostu niedostępną jest dla kobiet nierównego, zmiennego usposobienia, dla natur nerwowych, jako i dla istot fizycznie wątłych i skłonnych do rozmaitych chronicznych dolegliwości.

Duch niezłomny, głęboka, nie fanatyczna, lecz prawdziwie po chrześcijańsku pojęta pobożność, macierzyńska miłość dla całej cierpiącej ludzkości, niezamącona pogoda ducha i wypływająca z niej zdrowa, szczerza wesołość, nerwy żelazne i wytrwałe zdrowie, oto moralne i fizyczne warunki na idealną siostrę miłosierdzia.

Spotykamy się wprawdzie czasem z drobnymi zarzutami, czynionymi nie złej woli, broń Boże, ale tylko pewnemu niedoświadczeniu sióstr miłosierdzia, albo brakowi ich umysłowego wyrobienia, lecz nie wątpię, że pogłębienie i rozszerzenie ogólnego wykształcenia z czasem i te drobne usunie braki.

Świetlana postać „szarytki“ po wsze czasy uosabiać będzie najszczytniejsze miłosierdzie, od którego bierze swą nazwę.

Zofia Seidlerowa.

(Dokończenie nastąpi).



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Malwa odrzekła ze smutnym uśmiechem:

— Wyrwać—jak bławat z żyta...

— Pani myśli, że to łatwo?

— To też trzeba unikać wszystkiego, coby to utrudniało, omijać starannie wszelką sposobność...

— Czy to znaczy, że mi pani każe iść precz?...— rzekł porywco.

— Nie,— odpowiedziała łagodnie,—nie możemy przestać się widywać, aby nie zwracać niczyjej uwagi; ale nasz miły, przyjacielski stosunek, nasze poufne pogawędki nie mogą trwać dłużej w tych warunkach.

— Pani to łatwo przyjdzie... prawda?— spytał z goryczą.

Ona postąpiła ku wrotom, o które stał opar-

ty, położyła mu rękę na ramieniu, i rzekła głosem trochę drżącym:

— Nie zastanawiajmy się nad tem... bądźmy uczciwi, panie Zygmuncie!... Żegnaj pana!

Odwrociła się szybko, i weszła do chaty.

Od tego dnia Zygmunt przyjeżdżał do Zielonej Zagrody rzadziej i na krótko, rozmawiał z Jurem, a z Malwą zamieniali tylko po parę zdań bez znaczenia. Zwróciło to uwagę Jura.

— Pogniewałaś się z Zygmuntem?— zapytał siostry.

— Nie,— odpowiedziała krótko.

— Bo już tak nie konferujecie z sobą, jak pierwiej.

— Ale się na siebie nie gniewamy.

Jur spojrział uważnie na siostrę, która pod jego wzrokiem zarumieniła się mocno. Myśląc, że rzecz rozumiał, nie pytał więcej, tylko pocałował ją w czoło, i rzekł serdecznie:

— Zawsze jesteś rozsądna i taktowna na podziw! takie przyjaźnie są w ogóle niebezpieczne i lepiej je przerywać zawczasu.

— Zawczasu...— szepnęła Malwa do siebie, gdy Jur odszedł, i westchnęła ciężko, głęboko.

Po rozmowie w ogródku zrozumiała swoje serce, i wiedziała teraz, że kocha Zygmunta.

Pani Mimi Nabrzaska przyjeżdżała czasem na niedzielne nabożeństwo do kościoła Obrywińskiego, który był jej parafialnym. Zdarzało się to wtedy, gdy powietrze nie było chłodne ani wietrzne, wilgotne ani gorące, gdy nie było kurzu ani błota, a wysłany na rekonesans służący powracał z zapewnieniem, że w kościele niema tłoku, ani zaduchu. Wtedy pani Mimi w skromnym rannym kostiumie, przysłoniętym koronkową zarzutką, siadała w kolatorskiej ławeczce, lokaj podsuwał jej pod nogi aksamitną poduszkę, kładł przed nią stereotypową książeczkę w eleganckiej oprawie, a piękna pani przykładła do oczu lornetkę na długiej ręczce, i podnosząc nieznacznie do noska flakonik z solami, trochę się modliła, trochę słuchała przyjemnego śpiewu Klary, który ułatwiał jej pobożne rozmyślanie o wiekuistych rozkoszach, przygotowanych zawczasu w królestwie niebieskiem dla pani Mimi Nabrzeskiej.

Religia jej składała się z dwóch pierwiastków: z nadziei zagrobowego szczęścia, łagodzącej choć trochę dotkliwy żal za mijającą bezpowrotnie doczesnością—i z nerwowej bojaźni piekła. Praktyki jej polegały także na dwóch rzeczach: na spełnianiu tych przypisów kościelnych, które nie były trudnymi ani uciążliwymi, — i na wystrzeganiu się grzechów ciężkich. To ostatnie nie było także trudnym ani uciążliwym, bo pani Mimi do ciężkich grzechów zaliczała tylko zabójstwo, złodziejstwo, pijaństwo i wykroczenia przeciw moralności, przechodzące ostateczne granice. Spokoju jej duszy nie mąciły nigdy żadne skrupuły, żadne wątpliwości, a wiara jej w życie przyszłe ani na chwilę zachwiać się nie mogła; bo czyżby to było możebnem, aby pani Mimi kiedykolwiek istnieć przestała? aby dla pani Mimi po najdłuższem życiu nie miało się rozpocząć życie na nowo? Ufnosć jej w miłosierdzie Boże objawiała się przekonaniem, że Pan Bóg z pobłażliwym uśmiechem

patrzy na wszystko, co nie jest jeszcze wola-
jącem o pomstę do nieba; to też była prze-
świadczoną, że jej dusza uniknie wszelkich
pozagrobowych nieprzyjemności, a ciało do-
skonałe zakonserwowane w hermetycznej tru-
mnie, powstanie w dzień ostateczny z atłaso-
wej poduszki w pełni odnowionej młodości
i nieśmiertelnego wdzięku. A jednakże pomi-
mo tej silnej ufności okropnie bała się piekła;
bywały chwile, w których przed jej wyobra-
źnią przesuwano się przerażające widziadło
smrodliwego ognia, w którym kłębiły się po-
tworne ciała. Więc, dla tem pewniejszego za-
bezpieczenia się od tych okropności, nosiła na
sobie relikwiarzyk misternej roboty na fili-
granowym łańcuszku, przypisywała skuteczne
modlitewki, wprawdzie przez cenzurę kościel-
ną nie aprobowane, ale zalecane przez dewo-
tki, jako recepta na zbawienie bez fatygi,
a w sypialni swojej miała rodzaj małego ora-
toryum z mnóstwem ślicznych obrazków i sta-
tuetek, przedstawiających różnych niezawo-
dnych patronów, których protekcyą, zabezpie-
czającą od wszelkiej złej przygody za życia,
miała ją osłonić i po śmierci, w razie gdyby
wypadkiem nie dostawało czegokolwiek w jej
osobistych zasługach.

Otóż pewnej niedzieli, pomimo, że dzień
był upalny i kurz na drodze wielki, zjawiła
się pani Mimi przy samym końcu kazania
w swojej ławeczce, i spiesznie otworzywszy
lornetkę, wodziła nią wzdłuż nawy kościelnej,
zapełnionej wiejskim ludem. Panna Floren-
tyna, jej niby lektorka, a właściwie plotkar-
ka, opowiadała jej przed paru dniami, że pan
Wielolecki bywał częstszym gościem w Zagro-
dzie Kalinieckich, niż w Nabrzezańskim dwo-
rze, że podobno unosił się nad wieśniaczą
świeżością młodej hafciarki, i że w przeddzień
jego wyjazdu z Mewą do Warszawy, widzia-
no go dążącego w stronę chaty nad obrywem
z bukietem białych heliotropów w rękę.

Pani Mimi wysłuchiwała tego opowiadania
z widocznym niesmakiem, i objawiła pannie
Florentynie, że czuje moralną odrazę do tego
rodzaju pokątnych umizgów, jakich sobie pa-
nowie z wyższej sfery bez skrupułu pozwala-
ją. A chociaż rywalizacyą na seryo z hafciar-
ką ani na chwilę nie wydała się jej możliwą,
jednakże zdjęła ją ciekawość obejrzenia tej
paryskiej intrygantki, przebranej dla efektu
w wyszywaną złotem koszulę. Dlatego też
pomimo kurzu i skwaru wybrała się do Obry-
wina na nabożeństwo niedzielne — i kierując
się wskazówkami, które jej szeptała w uszko
kłęząca obok ławeczki panna Florentyna,
utkwiała lornetkę w samym końcu balustrady,
gdzie na zwykłym swoim miejscu stała opa-
rta o ścianę Malwa Kaliniecka.

Biały muślin, zsunięty nizko na czoło, za-
krywał jej piękne włosy, twarz miała przy-
bladła, oczy podkrążone — i wydała się pię-
knej pani brzydką. Przypatrzwszy się jej,
pani Mimi wzruszyła nieznacznie ramionami,
i składając lornetkę, z westchnieniem pewnej
ulgi rzekła do panny Florentyny:

— Nie tylko pan Wielolecki, ale nawet je-
go kamerdyner nie połakomi się na to...

Stojący u drzwi zakrystyi Zygmunt patrzył
także na Malwę, a widoczna w jej twarzy
zmiana to ból, to radość wzbudzała w jego
sercu. Od pamiętnej z nim rozmowy była

smutna i mizerna, widocznie cierpiała nad
zerwaniem ich stosunku, zapewne współczuła
z nim i żalowała go, a może... może i sama
kochała... To przypuszczenie duszę mu błó-
gością zalewało, a jednocześnie poilo gorzkim
żalem, bo wiedział, że w żadnym razie postę-
powania z nim swego nie zmieni, a przyzna-
jąc jej w tem słusność, tem bardziej cenil
jej charakter — i kochał ją tem mocniej.

Po nabożeństwie pani Mimi wstąpiła na
chwilę do Kanonika, aby obejrzyć rzadkie
okazy róż, których była lubowniczką. Po
zwiedzeniu ogródka, weszła z Kanonikiem do
bawialni i zastała tam Klarę, przerzucającą
jakieś książki z Malwą. Gdy witała się z Kla-
rą, Kanonik wskazał jej Malwę — i rzekł:

— Panna Kaliniecka, pani Nabrzeska...

Pani Mimi zrobiła minę naiwnie zdziwio-
ną, która mówiła wyraźnie:

— Kanonik jest oryginalny! nietylko pre-
zentuje pani Nabrzeskiej jakąś dziewczynę,
która za pieniądze haftuje, ale jeszcze wymie-
nia tej dziewczynie nazwisko pani Nabrze-
skiej...

Na ukłon Malwy odpowiedziała stereotypo-
wem skinieniem głowy, powiodła po niej szkła-
mi lornetki, a zatrzymując je przez chwilę na
jej teraz odkrytych ciemno-złoty warko-
czach, zauważyła w myśli, że ta dziewczyna
musiała przywieźć z Paryża jakiś znakomity
sekretny farbowania włosów, na taki niezwykły
kolor. A potem ostentacyjnie nie zwracając
już na nią najmniejszej uwagi, zajęła się roz-
mową z Kanonikiem, podczas gdy obie pan-
ny zaczęły dalej poszukiwać jakiejś książki.

— Doprawdy, Kanoniku kochany — mówi-
ła pani Mimi, — niezmiernie mi przykro, że
tak nieczęsto mogę sobie pozwolić na przy-
jemność wizyty na probostwie. Ale ta nasza
zmienna pogoda, te nasze złe drogi, i te mo-
je częste migreny...

— Za siebie — odrzekł Kanonik, — przyjm-
ję z wdzięcznością samą intencję; ale tam —
wskazał przez okno na kościół — pani rzeczy-
wiście nie zbyt często bywa.

— Ach, tam właśnie najtrudniej bywa! ten
tłum, ten zaduch, to dla mnie niemożliwe!
A wszak Pan Bóg nie wymaga, aby robić
nad możność?

— Naturalnie; ale granica możliwości by-
wa często bardzo względna.

— Ja bezwzględnie nie mogę co święto na-
bawiać się migreny! Ale niech Kanonik nie
myśli, że niczem nie zastępuję bywania na
nabożeństwie.

— Ciekawa rzecz, czem to pani zastępuje
mszę świętą? — spytał Kanonik z uśmiechem.

— Jeżeli w niedzielę nie jadę do kościoła —
opowiadała z przejęciem, — to idę do mego
liliowego gabinetu, gdzie mam śliczną alaba-
strową statuetkę Madonny, każę ogrodnikowi de-
korować ją kwiatami i proszę panny Floren-
tyny, aby zagrała coś odpowiedniego, — jaki
hymn, albo Ave Maria.

Kanonik przestał uśmiechać się uprzejmie,
pani Mimi mówiła dalej:

— Wszyscy zresztą wiedzą, że bigotką nie
jestem, ale należę do osób pobożnych, i jeśli
jaka praktyka jest dla mnie trudną lub przy-
krą, to staram się o dyspensę; ale i to bywa
czasem trudnem. Naprzykład poprzednik Ka-
nonika wmawiał we mnie, że wyglądam, jak

obraz zdrowia, więc postyby mi nie szkodziły;
a tymczasem mój doktor właśnie pod karą
utrąty świeżości cery nakazuje mi befsztyczek
trzy razy dziennie. To też wyrobiłam sobie
kompletną dyspensę za granicą u pewnego
biskupa, który był człowiekiem dobrego to-
warzystwa i umiał wejść w moje położenie.

— No, — a posty czem pani zastępuje?

— Każdego piątku każę zapalać lampkę
przed obrazem Chrystusa w cierniowej koro-
nie — bardzo piękna kopia Guido Reni'ego.
Lampka jest z różowego kryształu, a oliwa
aromatyczna.

— Właściwie post zastępuje się jałmużną.

— I o tem nie zapomniałam! do garderoby
przychodzą nieraz żebracy, a moja panna ma
dyspozycję rozdawania im różnych zdemodo-
wanych drobiazgów.

— Wyobrażam sobie, jak im do twarzy
w starych paryskich kapeluszach! Ale pani
ich zapewne nie widuje?

— O, to widok nie dla moich nerwów! Oni
są tak nieporządni, i miewają podobno różne
brzydkie choroby. Zresztą, matka mego mę-
ża zajmuje się nimi ze szczególnem upodo-
baniem; ona ma nerwy stalowe!

— A jak też drażliwe nerwy pani godzą
się naprzykład z rzeczą tak fatygującą, jak
spowiedź?

— Ach, Kanoniku kochany, weale się nie
godzą, weale! Ale na to, niestety, nie mo-
głam sobie żadną miarą wyrobić dyspensy!
Nawet ów biskup francuzki, chociaż tak u-
przejmy, mówił mi, że to jest nieunikniona
konieczność, a nawet napomknął coś o potę-
pieniu, na które narażają się ci, co nie cho-
dzą do spowiedzi. Więc co rok około Zie-
lnych Świąt jeżdżę umyślnie do Krakowa,
gdzie mam spowiednika, odpowiedniego dla
pań z towarzystwa; ale po każdym takim
przejściu jestem przynajmniej na tydzień fa-
talnie zdenerwowana. To też spodziewam się
że Pan Bóg ocenia tę ofiarę, którą robię dla
zbawienia mojej duszy; wszak prawda, Kano-
niku kochany?

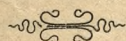
Kanonik podszedł do swojej biblioteczki,
wyjął z niej książeczkę oprawną w ciemną
skórę, spojrzął na Klarę, która wnet wyszła
z pokoju wraz z Malwą, a potem usiadł na-
przeciw pani Mimi, i rzekł bardzo seryo:

— Chociaż nie jestem duchownym prze-
wodnikiem pani, lecz jej proboszczem tylko,
pozwolę sobie przecież zrobić pani uwagę,
dotyczącą jej pojęć religijnych: Pani sobie
wyobrażasz, że do nieba dojść można szerokim
gościńcem, wysłanym kobiercami, — i z najtro-
skliwszą pieczołowitością o swoje wygody
i przyjemności, usuwasz z pod nóg swoich
najmniejszy kamyczek obrażenia. A tymczasem
powiedziano jest, że królestwo niebieskie
gwałt cierpi, — to znaczy, że po wazkiej, stro-
mej i ciernistej ścieżce wdzierać się doń trze-
ba z trudem i wysiłkiem; kto zaś każe w le-
ktyce nieść się do niego, ten łatwo zabłądzi
w drodze, i może trafić... gdzieindziej!

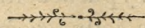
Pani Mimi wstrząsnęła się nerwowo.

— Gdzieindziej... — rzekła, — nie, to niepo-
dobna! Pan Bóg nie może być ani tak wy-
magającym, ani tak surowym!

(Ciąg dalszy nastąpi).

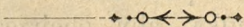


DEOTYMA.



NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).



(Ciąg dalszy).

Baron Wels wołał: — «Nowina! Szczęśliwa!
 «Z nad Kahlenbergu pięć rac wyleciało!
 «Wszyscy witają tę rzecz niebywałą,
 «Chociaż nikt nie wie, co w niej się ukrywa?»
 — «Ja wiem!» — Graf rzecze. — «Król przeszedł za wodę!
 «O mój ty Welsie, sokołę ty młode,
 «Przez ciebie zawsze raduje się dusza!
 «Muszę iść.... Może znów będą sygnały?»
 I już się gwałtem brał do kapelusza.
 Wstrzymał go młodzian zuchwały.

«Dzień i noc Burszom rozpowiada cuda,
 «Co tam za skarby! Co tam za kobiety!
 «Sam ich nie widział, i nikt z nas — niestety —
 «Jeszcze nie widział.... Lecz może się uda?
 «Wedle Bedela, najwięcej tam słynie,
 «Jakaś Greczynka, piękna, jak boginie.
 «Basza ją dręczy, że aż serce boli.
 «Michał się strasznie na niego zawzina,
 «A jeszcze więcej na jego Murzyna,
 «Co go katował w niewoli.

— «Stój, Panie Hrabio! Za pośpiech, za pracę,
 «Za tę wieść dobrą, jaką ci przyniosłem,
 «Dank mi przypada.» — «Zapłacę! Zapłacę!
 «Mów: co chcesz?» — «Dużo, bo dziś jestem posłem.»
 — «Posłem? Od kogóż?» — «Od naszej Młodzieży.
 «Tęgo się bila. Cós jój się należy.
 «Jest pewien zamiar, co bardzo ją nęci,
 «Lecz Kommendanta boją się troszeczkę....»
 — «O cóż wam chodzi?» — «Więc powiem: Studenci,
 «Chcą z miasta zrobić wycieczkę.»

«Rektor jest nierad. A młodzież tymczasem,
 «Już dzienną walką na krew rozpasana,
 «Z głową nabitą Homerem i Tassem,
 «Chce zarznąć Baszę, wyrwać z rąk tyrana
 «Ową Helenę, czy ową Armidę.
 «Więc im powiadam: Czekaście, ja idę,
 «Poproszę Grafa. Trochę się podąsa —
 «W końcu.... Pozwoli. Prosić, nie jest grzechem.
 «Pozwól, łaskawcze!» — Graf nadgryzał wąsa.
 Po chwili odparł z uśmiechem:

— «Wycieczkę? Po co? Aby znów te matki,
 «Ach, i te panny we łzach, krzyk podniosły,
 «Że ich gagatków skazuję na jatki?
 «No gadaj, kiedyż chcą lecieć te osły?»
 — «Mybyśmy jeszcze téj nocy iść chcieli.»
 — «Jakto? Po krwawej, szturmowej kapieli,
 «Znów zaraz w ukrop? Zkąd? Co za przyczyna?»
 — «Przyczyna, taka: w pół Sierpnia, w to Święto,
 «Jak Pan Kommendant sobie przypomina,
 «Dość niewolnika nam wzięto.

— «Ej, nadużywasz ty mojej dobroci.
 «Już to, co prawda, ten Królik Majowy,
 «To zuch.... I wszyscy. No, do kroćset kroci,
 «Niechże już idą dziś te wartogłowy.
 «Lecz rygor trzymaj! Gdy wielu mi zginie,
 «To tylko ciebie o ich śmierć obwinę.
 «Leć!.... — Więc on przeszedł za most? Precz ze smutkiem!
 «To jakby Turków za morze już wygnął.
 «Chodź Prezydencie, nacieszmy się z ludkiem.
 «Oddajmy sygnał za sygnał.»

«Między innemi téż tego Michała,
 «Co był Bedelem w Akademji naszój.
 «Znikł. Alma Mater już go oplakała,
 «I już istotnie, u jakiegoś Baszy
 «Służył, drwa nosił. Aż po dniach dwunastu,
 «Ktoby uwierzył? Przekradł się ku miastu,
 «I wrócił do nas, lecz w mycce, pół-nagi,
 «Bo mu już Turcy nadzieli lachmany,
 «I leb zgolili. Od onój zniewagi,
 «Chodzi na pół pomieszany.

Poszli mężowie. Noc czarna i cicha.
 Z wież biją race. Lud krąży na dole.
 Studencka rota przez tłum się przepycha,
 I Szkocką furtką śmignęła na pole.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POGADANKI PEDAGOGICZNE

Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu

Wandy Żeleńskiej.



V.

Przygotowanie do nauki, rozwijanie władz pamięci, wyobraźni i uwagi. Jak sobie z nimi pedagogicznie radzić należy? Miłość prawdy ratunkiem nieomylnym od groźnych niebezpieczeństw.

Wracamy do pierwszego założenia. Ponieważ człowiek sam siebie wychowuje, dla nas, tu zebranych, wychowanie nie skończyło się wcale; owszem, ono zaczyna się właściwie z pierwszą chwilą, w której możliwość dalszej pracy nad sobą uznamy.

Nie jest mi danem wiedzieć, w co się słowa moje obróca, wiem tylko, że podaję tu przekonania najgłębsze i sumienne, zebrane przez ciąg życia. Jedynym najwyższym celem moim, zbawieniem tych godzin, byłoby rozbudzenie w jakiej młodej duszy przeświadczenia, że jako istota wolna i odpowiedzialna, powinna własną edukację rozpocząć, że dla każdej z was jeszcze dość czasu, aby się moralnie i fizycznie nawet wychowywać zaczęła.

Mówiliśmy już o konieczności przygotowywania władz umysłowych w dziecięciu. Starsi najpierw w nim rozwijają władze *pamięci, wyobraźni i uwagi*; — pamięć, zbierająca wrażenia i fakty, jest pierwszą najkonieczniejszą władzą; pierwsza się też w człowieku budzi i rozwija, wszelka działalność jego od pamięci się zaczyna. Bóg ją dał człowiekowi, jak oddech, jak trawienie, jest ona zupełnie *mimowolną*. Jest druga pamięć *dowolna*, która kiedy chce, przypomina sobie wrażenia, przedmioty, słowa.

Nam tu tylko o mimowolną chodzi; w niej rozróżniamy pamięć chwytną, prędką i zachowawczą, długą. Jedne osobistości ludzkie mają pamięć chwytną, inne bardziej zachowawczą, inne jeszcze martwą, tępą, powolną, nieprzyjmującą, leniwą, z trudnością wydobywającą z siebie to, co przyjęła.

Rodzaj pamięci jest prawem osobistości, jej cechą wyróżniającą, dowodem zapasu przyniesionego z sobą lub odziedziczonego po przodkach. Zadaniem kształcenia jest, by te dwie cechy pamięci pogodzić i w równowadze utrzymać, chwytność z zachowawczością. Pamięć można kształcić mechanicznie, lecz trzeba pewnych niebezpieczeństw unikać. Taką *prędką pamięć* zdaje się być w dziecku jakimś przypomnieniem przeszłości, odziedziczoną puścizną. Jest ona niebezpieczną ze względu, że rodzice, znakomitą pamięcią dziecka kuszeni, przeładują ją często. Ztąd zdarza się, że dziecko, obdarzone wybora pamięcią do lat siedmiu, nagle tępieje, wszelkie nadzieje zawodzi, mechanizm mu pamięć zabija.

Tymczasem dopiero wtedy można używać wszystkich sposobów na kształcenie pamięci wprawą, systematem, mnemoniką, gdy już jest zaprowadzona równowaga między pamięcią chwytną a zachowawczą. Pamięć przeładowana, choćby nie stępieła, będzie raczej po-

pisem, aniżeli korzyścią; niezwykle jej rozrost miewa miejsce z uszczerbkiem innych władz. (Wiadomo, że Mezzofanti np. posiadał siedm-dziesiąt dwa języki. Na każde pytanie we właściwym języku, z narodowych pisarzy czerpiąc, odpowiadał, z wymienieniem dzieła i strony. Człowiek zresztą zupełnie mierny, z wy-bujalej władzy nie uczynić nie potrafił, prócz pokazywania się za pieniądze).

Pe razy władza pamięciowa nie stępieje, to rozrasta się kosztem sądu, zastanowienia, rozumu, praktyczności, — i staje się zupełnie bezużyteczną, jak niepamięć, jak zapomnienie. Pamięć nie powinna też być nigdy podstawą w człowieku, tylko jedną z stron dodatnich umysłowości. Po cóżby się zdała pamięć bez zastosowania?

Ujemnym fenomenem pamięci bywa *idiotyzm* albo *wszystkowiedztwo*. Wszystkowiedztwo jest karykaturą wszechwiedzy, — o ile wszechwiedza jest gruntowną, to wszystkowiedztwo jedynie pozorną umiejętnością. Dla uchronienia pamięci od groźnych niebezpieczeństw, od martwoty, przeładowania, wszystkowiedztwa, daną jest *wyobraźnia*. Wyobraźnia przedstawia pewną wyższą pracę pamięci, ona przerabia wrażenia na wyobrażenia, fakta na obrazy. Z początku dzieje się to biernie, w niższym stopniu, zowie się u dziecka pamięcią lokalną, fizyonomiczną, lecz gdy przyłączy się do niej upodobanie, uczucie, zaczyna być czynną, *kombinacyjną*, łączy rzeczy widziane z upodobaniami, dobiera sobie z widzianych a zapamiętanych wrażeń różnych kombinacji. Już dzieci małe kombinują, układają powieści, odpowiednie otaczającym je przedmiotom i wypadkom; dzieje się to i u starszych.

Dopiero na najwyższym stopniu wyobraźnia zaczyna być twórczą; wtedy nie wzoruje się na doznanych wrażeniach i otaczających przedmiotach, ale stawia dowolnie stworzone. U dzieci naprz. co innego jest bawienie się lalką i postępowanie z nią, będące odbiciem tego, co dziecko otacza, a co innego, gdy zaczynają mówić o ptakach, śpiewających srebrnym głosem nad kołyską usypiającej istotki, o aniołach złotoskrzydłych, o woniących pięknie jeziorach, o mówiących różach i t. p. Zachodzi częstokroć wielka trudność w zachowaniu równowagi, wyobraźnia bywa bowiem uspioną lub zbyt żywą. Praca pedagogiczna na tem zależy, by uspioną rozbudzić, zbyt żywą zaś — nie uspokoić, bo to niebezpiecznie, ale pokierować. Ku rozbudzeniu jedynym praktycznym środkiem jest nadzwyczajność, cudowność, w ostateczności po bajki nawet sięgnąć trzeba. Lękają się niektórzy tego środka, jako rodzącego teńhorzliwość i zabobony, ale doświadczenie uczy, że wpływ wywierany zależy głównie od natury ulegającej mu duszy. Dla wyobraźni żywej pokarm to szkodliwy; tu unikając urojeń, podać należy piękną rzeczywistość, zwyczajność, prawdę. Zamiast cudów fantazyi, dać cuda przyrody, zapoznać z codzienną pięknnością świata; dać historię, sławnych ludzi czyny, bohaterskie tryumfy, wydarzenia społeczne.

To będzie pokarm zdrowy, prawdziwy, który będzie podniesieniem, a duszy nie zmarnuje, jak szyderstwo, zawód, nieporozumienie, zabójczo działające na duszę dziecka. Trzeba wziąć tę duszę w świat daleki i dać jej poznać wszyst-

ko, od robaczka i drzewka, w rzeczywistej piękności, — w ten sposób nauczy się używać świata, nie będzie nigdy sobie samej ciężarem. Te środki ulegają różnym sądom, bo różne sprawiają wrażenia, zależy to od natury i od rodzaju wyobraźni. U kobiet przemaga wyobraźnia, zwłaszcza kombinacyjna, która stając się zbyt wyłączną, pochłaniającą, zwie się marzycielstwem. Władzy tej ogromnie strzedz należy. Marzycielstwo bywa uprzytomnieniem sobie przyjemności. Siła uprzytomnienia bywa tak wielką w człowieku, że niekiedy zastępuje prawdę. Na tej drodze łatwo umysł skrzywić się może, ulegając chorobom nerwowym, hallucynacyom, mającym pozór jakiegoś bezświadomego tworzenia. Najwyższym, a zarazem najniebezpieczniejszym stopniem wyobraźni w kobiecie jest *egzaltacja*. Egzaltacja sama w sobie, znaczy rzecz świętą, wzniesienie się duszy, podniosłość; ale tracąc grunt pod sobą, staje się śmiesznym podniecaniem, pozbawioną siły rzutkością.

Hallucynacja wyczerpuje nerwy, a egzaltacja wyobraźni wyczerpuje prawdę uczucia. Nie dzieje się to gwałtownie, od razu; z początku idzie ona w parze z prawdą uczucia. Lecz skoro jeden utwór po drugim, zamiast ożyć, zapada w głąb piersi, tłoczy, niepokoi, rodzi wymagania, chce się zreczywistnić, a nie umie, — wyobraźnia staje się wtedy prawdziwym nieszczęściem. Wyobraźnia nadużyta, gdy przejdzie miarę, zabija pamięć rodzicielkę wyłącznością swoją, zwrotem uporeczywym ku jednemu przedmiotowi, wywoływaniem, uprzytomnieniem sobie ciąglem rzeczy upragnionych, tego, cośmy przecierpeli lub czegośmy nie mogli zreczywistnić. (Bo i to, co przecierpiane, niekiedy we wspomnieniu miłem stać się może). Wyobraźnia upija się tak łzami, jak śmiechem, gdy do chorobliwości dochodzi. Wtedy tylko stanie się źródłem siły i rzeczywistą potęgą, gdy będzie twórczą, opartą na dwóch władzach: pamięci i uwagi, na straży wyobraźni bowiem Bóg postawił uwagę, zastanowienie się. Uwaga powstrzymuje masy wrażeń, obrazów, hamując szybkość wyobraźni, broni jej od rozbijania zbyt technicznego, tak, jak bywa lekarstwem na przeładowanie pamięci. Pierwszym stopniem uwagi jest, gdy zbudzona niezwykłością, wpada w podziw, w ciekawość i zaczyna się *zastanawiać*. Drugim stopniem uwagi jest pewna władza zbierania *sposprzeżeń*, obejmująca szczegóły, by najdrobniejsze. Ona porównywa, rozróżnia; przy wyobraźni kombinacyjnej staje się władzą *badawczą*, przy twórczej *artyzmem*, bo władzą harmonizowania. Najwyższym stopniem uwagi *rozważa*, będąca porównawczem spostrzeżeniem szczegółów. Wchodzą tu w grę porównanie, spostrzeżenie, rozbiór, — a z tego chemicznego, analitycznego procesu, kiedy już władze dojrzeją do stopnia pamięci, wyobraźni, rozważa przechodzi w nową syntezę, w nową sferę umysłu. Dobra pamięć, twórcza wyobraźnia i rozważa, składają się na wytworzenie i ugruntowanie władzy *rozumu*. Z rozumu wyrastają znów inne władze, dające w połączeniu swoim różne kombinacje. Pamięć staje się *pojętnością*, wyobraźnia w rozumie staje się dowcipem, nie towarzyskim, ale naukowym, dochodzącym, tworzącym. Rozsądek, tworzy się z rozważa, należy do rozu-

mu; rozum rozwija umysł ludzki, przeprowadza pamięć ogólną w wiedzę, dowcip w umiejętność, rozsądek w sąd, w prawdę.

Rozróżnienie, chwytność odciennych władz synonimów, jest zadaniem nauki filozofii. Ponieważ woli i osobistości niema końca, więc rozbudzone władze ciągle rozwijać się dają. Pamięć można kształcić mechanicznie, unikając tego, co szkodliwe. Słabnie ona często skutkiem radości, a tępieje zupełnie przez smutek, przez nieszczęście. Na to, by nieszczęście opanować, przerosnąć władzami umysłowymi, trzeba wysiłku nielada! Kobiety za mało przygotowują się do życia, idą wyłącznie niemal za wyobraźnią. Pamięć jednak w najgorszych chwilach ratować trzeba, starając się o bezustanną trzeźwość umysłu. W rozwoju władz umysłowych kobietom najczęściej brzdąca uczuciowość; drugostronnie pomagające do duchowego rozwoju, — trzeba więc dla jednego o drugie się starać, bo między uczuciem a władzami umysłowymi, zachodzi dziwna łączność i zawisłość.

Kto ma wyobraźnię zbyt kombinacyjną, powinien ją ująć w karby i czuwać nad uczuciem. Jest zawsze jakaś cząstka marzycielstwa w najszlachetniej nawet spowodowanym smutku, w najrzeczywiście zawarowanej tęsknocie; z tej cząstki otrząsnąć się trzeba właśnie. Radość nieogłędna szkodzi; zbytek uciech pamięć osłabia; wiemy jednak, że zabawy i uciechy, użyte w porę i umiejętnie, odświeżają owszem umysłowe władze.

Skutkiem zbytecznego zajmowania się drobiazgami, wyobraźnia karłowacieje, a pamięć ginie. Z wyobraźnią trzeba sobie postępować, jak pedagog z dzieckiem, bogacąc zapasem użytecznych wiadomości z historii, z nauk przyrodniczych, ze sztuk pięknych. Żywić, kierować, od marzycielstwa strzedz, — ku prawdzie pędzić, twórczość popierać dzielnością, urzeczywistniać pragnienie serc i ideałów, chociażby dla zdania sobie sprawy z tego, co jest w nas, bo to zupełnie inaczej wygląda, gdy się uzewnętrznia, gdy z nas wystąpi niejako to, co nas dręczyło, co się marnowało. By nas wyobraźnia nie trapiła, trzeba ją bogacić przedmiotami odpowiednimi, sztukami pięknymi, historią. Kto może tworzyć, niechaj coś robi, jeżeli nie dla siebie, to dla drugich, żeby się mógł przejrzeć niejako we własnych uczynkach.

Uwaga jest wielkim i cennym darem, a jednak u kobiet do rzadkich zalicza się przymiotów, bo kobieta ma *krótką myśl*, a ruchliwość wyobraźni przeważa w niej najczęściej zdolności umysłowe.

Kobieta miewa bystrość, przenikliwość, — mniej zdolności do analizy, a za to więcej łącznych, syntetycznych zdolności; miewa często prawie nadnaturalną władzę intuicji, przecucia, która *długą myśl* zastępuje, obdarzając ją niekiedy prawdziwym natchnieniem. Często myśl nasza urywa się przez lekkomyślność, przez niecierpliwłość i wrażliwą zmienność. Uwaga z rozważaniem stanowią rozum. Uwaga najtrudniejszą jest jednak do utrzymania tak w sobie, jak w drugich; a zwłaszcza też u dzieci. Na uwagę dziecka nie zawsze wpływać można swoją własną, nie zawsze można podług woli ją zatrzymać, czego doświadczamy codziennie, niestety! Z powodu roz-

proszonej uwagi i braku skupienia u kobiet, mówią, że u nich *zamyslenie* najczęściej *zamarzeniem* bywa. Do naszych moralnych obowiązków należy skupianie ducha kształceniem uwagi i podnoszeniem jej do godności *rozważni*.

Wywołanie woli bywa jedynym skutecznym lekarstwem na zbyteczne rozstrzelanie myśli. Ukochanie prawdy jest sposobem nieomylnym ku wyrobieniu i podniesieniu władz. Uczuciem można je uratować i odkupić. Trzeba prawdę ukochać tą prawdziwą rzeczywistością miłością, jak najdroższą osobą — jak kochamy rodziców, braci, siostry, przyjaciół; ukochać tak, aby rzeczywistość jej brak nas martwił, jej nabytek cieszył; iżby niepewność nas niepokoiła, jak spóźnienie oczekiwanego listu, iżbyśmy jej potrzebowali, jak widzenia się i rozmowy z najdroższymi naszymi. Iżbyśmy bez jej przyznania trwożyli się, jak przy łóżku ukochanego chorego, ot, poprostu, trzeba kochać *miłością*; czyż mówiąc do kobiet, mam dłużej to słowo tłumaczyć? Wszak nie? Potrzebniejszym będzie objaśnienie, czym jest prawda? Lubo każdy z nas nosi w sobie choćby maleńką cząsteczkę prawdy, przecież określenie bliższe, *definicja*, łatwą nie jest.

Można powiedzieć, jakie są strony prawdy, jakie strony jej *dziś* mamy na względzie, ale nie łatwo wyczerpiemy znaczenie *prawdy*. Prawdą najrzeczywistszą *jest tylko Bóg*. Można prawdę rozebrać na części składowe, można dowieść, że ona się składa z rzeczywistości i z wiedzy, że za jej pomocą uczymy się rozróżniać złe od dobrego. Warunkiem prawdy — prawo Boże. Zwróciwszy nasz umysł do tego pojęcia, zrozumiemy potrzebę *wiedzenia* wszystkiego, — a gdy jest *potrzeba*, to się i pamięć znajdzie, najdrobniejsze szczegóły nabiorą znaczenia, najtrudniejsze rzeczy łatwymi do pamiętania się staną. Kto prawdę kocha, *pamięta* i zwalcza w sobie owe tysiączne przeszkody, które i najtrzeźwiejsza kobieta napotyka na swej drodze. Dla jednej chronologia trudna, zapomina faktów lub nazwisk, mieszają jej się wieki, epoki, podziały... U drugiej wyobraźnia, nie smakująca w poważnych przedmiotach, nie może sobie dobrać odpowiedniej formy na własne twory; uwaga nie może się na ciąg zdobyć, szczegóły jej giną, spostrzeżeń nie dostarcza...

Kto obojętny dla prawdy, niech się nie uczy; kto nie ma zdolności, ten nie ma nawet prawa do nauki. Nauka nie jest koniecznością, trzeba nam to zrozumieć, żeby się otrząsnąć z przesądu; przymusowa nauka rzadko bywa pożyteczną. Cała praca umysłowa jest tylko *szukaniem prawdy*. Kto nie ma zdolności ni chęci do nauki, a uczy go, psują mu charakter. Pewną ilość prawdy można wiać od innych, to wystarcza. Potrzeba dociekania bywa już świadectwem zdolności i prawem, — kto nie ma zamiłowania, zaniepokojenia zdolności, ten może się nie uczyć. Potrzeba prawdy moralnej wyrokuje o życiu całym. Kto nie czuje w sobie potrzeby rzeczywistej, może mimo to żyć poczciwie, a nawet użytecznie, obywając się bez nauki, bez talentów. Ale kto ma zdolności, kto by mógł rozbudzić w sobie umysłowe władze, kto do naukowej pracy podnieść się może, a nie czyni tego, ten ciężko grzeszy! (C. d. n.)

DALEKIEU...



Zanim nadejdzie śmierci dzień
I przetnie nić mych snów,
Niech nieuchwytny stanie znów
Przed wzrokiem mym twój cień;
Zanim śmierć ciszą mnie otoczy,
Niech znów mi płoną twoje oczy
I niech się wsłucham w pieśni tony,
Pieśni z dziecięcych lat —
Zanim duch życiem umęczony
Uleci w inny świat!...

I niechaj znów radości łąza
Żrenicę słońca ma —
Niech z bólu młode serce drga,
A w piersi ognie wrą,
Niech żywiej każde bije tętno,
Bym bryłą nie był obojętną,
I niech myśl w różne leci strony,
Niepomna lez i strat —
Zanim duch życiem umęczony
Uleci w inny świat!...

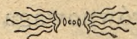
Dziś pragnę znów, jak dawniej czuć,
Nim pójdę w mroków noc,
O serce moje! zbudź się, zbudź,
Odzyskaj dawną moc!
Niechaj przed wzrokiem duszy stanie
Młodości mojej dnia świtanie —
Niech jej zahuczą wspomnień dzwony,
Zakwitnie uczuć kwiat —
Zanim duch życiem umęczony
Uleci w inny świat!...

I niech przedemną stanie znów
Twój nieuchwytny cień —
W milczeniu witam go, bez słów,
Wśród cichych serca drzeń,
On przypomina wiosnę moją,
On był mi wiarą i ostoją —
Ach! gdyby powstał dzień miniony,
Co mi w mgłach życia zbladł —
Zanim duch życiem umęczony
Uleci w inny świat!...

Niech odlatują myśli złe,
Jak senne ptaki z pól —
Niech się otulę w marzeń mgłę
I prześnię życia ból —
Niechaj obłędna wspomnień fala
Od życia smutków mnie oddala —
Niech dawnej drogi — dziś zamglonej —
Odnajdę jeszcze ślad —
Zanim duch życiem umęczony
Uleci w inny świat!...

Niech Anioł ciszy, Anioł snu
Poda mi zbawczą dłoń —
Zanim mej piersi zbraknie tchu,
Nim padnę w mroków ton —
Niech dawna wiara, dawna miłość
Życia rozjaśni mi zawilść —
Niech ku przeszłości odwrócony
Śnię sen młodzieńczych lat —
Zanim duch życiem umęczony
Uleci w inny świat!...

Tadeusz Kończyk.



W kwestyi kobiecej.



(Dokończenie).

III.

Wiek XIX-ty jest epokowym w dziejach „kwestyi kobiecej.“ Tu dopiero kobieta samodzielnie rozpoczyna walkę, występuje sama na arenę, sama formułuje swe dążenia i żądania i dochodząc do najradykałniejszych konsekwencji, rzuca hasło „emancypacji“, równouprawnienia z mężczyzną pod każdym względem. Punktem wyjścia tych żądań jest zasada, że kobieta we wszystkim bez wyjątku pod względem społecznym, umysłowym, fizycznym nawet równa jest mężczyźnie, i tylko przemoc mężka, błędna organizacja społeczna, przesąd i kierunek wychowania skazały ją na stanowisko poślednie.

Zasada fałszywa, to też konsekwencye z niej wyciągnięte muszą być fałszywe. I tu warto przytoczyć *in extenso* zdanie kobiety, kobiety rozumnej, a patrzącej na rzecz spokojnie i przedmiotowo: „Jako ludzki osobnik—oto słowa p. Rostworowskiej—jako dusza nieśmiertelna, kobieta równa się zupełnie mężczyźnie i żadnej różnicy wartościowej między nimi niema. Jako członek społeczny, różnica jest i będzie do końca świata. Tu już mężczyzna i kobieta nie są osobnikami, ale czy wspólnie, czy na swoją rękę, każde z nich podejmuje inną część zadania społecznego, które tym sposobem uzupełnia. W tych zadaniach może być równowartościowość, ale niema współrzędności, bo pierwsze miejsce w organizmie społecznym dane jest mężczyźnie.“ I tu p. Rostworowska dodaje: „Przyrodzenie, *recte* Opatrzność, każdemu gatunkowi zwierzęcemu dała w rodzaju męzkim pierwszeństwo, a w ogóle im gatunek wyższy, tem różnica wybitniejsza.“ Nie można twierdzić, że organizm fizyczny kobiety niższy jest od męskiego; po prostu jest inny. Inny w składzie mięśni, w budowie kośćca, inny w kształtach zewnętrznych, w doniosłości głosu. „Zwyróżniałe wieki nazwały kobietę piękniejszą połową rodzaju ludzkiego; wieki klasyczne i pod tym względem uznawały pierwszeństwo w mężczyźnie.“ Właściwie pierwszeństwa niema, jest dopełnienie i dopiero w dwóch okazach typ ludzki uwydatnia się w pełni swojej. Ciekawa rzecz: ci, którzy prawią szeroko o zupełnym fizycznym równouprawnieniu kobiety do każdego zawodu, nie żądają tego równouprawnienia dla służby wojskowej i zawodów, wymagających wyteżonej pracy fizycznej i zawsze pioruny rzucają—i to słusznie—na społeczeństwo, które kobietę skazuje na pracę w fabrykach przed i po urodzeniu dziecka, narażając tem jej życie i życie jej potomstwa. Ale jakże to pogodzić z równością fizyczną i uzdolnieniem do każdego zawodu? A jeśli prawdą jest, że rasa, wychowanie, dobór fizyczny, grają tak wielką rolę w rozwoju odmian i gatunków, to czemuż nie wyrobiła się rasa kobiet potężnych fizycznie i umysłowo? Czemuż Amazonki zostały mitem i czemuż zresztą one nawet uległy przed siłą męzką?

Co do moralnej strony, cnota, jako wyro-

bienie duszy może być na jednym stopniu u obu rodzajów—tu panuje zupełne równouprawnienie, ale nikt nie jest w stanie zaprzeczyć, że są cnoty właściwe i przyrodzone kobiecie, inne właściwe i przyrodzone mężczyźnie. Powodem tego jest, że podkładem wyrobienia moralnego poziomu są zalety, wady, przymioty leżące na dnie duszy męskiej albo żeńskiej, cechy charakterystyczne umysłu i duszy, wrodzone częścią kobiecie, częścią mężczyźnie.

„Więc tylko w skojarzeniu swoim obie połowy rodzaju ludzkiego dopełniają myśl i zamiar Stworzyciela!...“ Skojarzenie mężczyzny z kobietą nie tylko harmonizuje i w doskonałą całość łączy właściwe przymioty obojga: ono wytwarza z nich nową właściwość, daje im nowe piętno: ojcowstwo i macierzyństwo i wprowadza między nich czynnik nowy: dziecko, łączące oboje wzajemnie i stanowiące przyszłość społeczeństwa. Rodzicielstwo nie ma jedynie na celu przechowania gatunku, ale wkłada na rodziców obowiązki moralne, które stanowią wielkość i świętość tego związku. Te obowiązki logicznie doprowadzają do postulatu jednożeństwa i nierozwalności małżeństwa.

Ale małżeństwo nie jest niezbędnym obowiązkiem i jedynym celem tak kobiety, jak i mężczyzny. Jest ono kwestyą ich wolnej woli. I mężczyzna, i kobieta, zdolni są spełnić swe zadania życiowe i społeczne także i poza małżeństwem. I tu nasuwa się kwestya samodzielnej pracy kobiecej.

Pod tym względem, zdaje się, dziś już dwóch zdań niema. Prawa do pracy i to na każdym prawie polu kobiecie nikt nie zaprzecza. Ekonomiczne i społeczne warunki ukształtowały się tak, że to uznanie prawa do pracy stało się koniecznością. O tej więc już rozstrzygniętej w zasadzie kwestyi mówić nie trzeba; ale z nadzwyczajną wagą nasuwa się problem inny, problem kształcenia kobiet, tak, by one czy to w pracy społecznej, czy to w bez porównania ważniejszej pracy rodzinnej spełnić mogły swe obowiązki.

„Wykształcenie kobiety, jej pierwiastku moralnego przedewszystkiem, ale niemniej i umysłowego, jest postulatem katolickim. Kościół chce światła wszędzie: zanadto jest pewny Boskich podstaw swoich, aby unikał światła, lub lękał się chwilowych mroków połowicznej nauki. Światła i dobrej wiary—tego prawda żąda. Więc i kobietom dobrej oświaty kościół nie odmawia.“ Podnosząc przedewszystkiem ten zasadniczy punkt i zbijając zarzuty podnoszone w tym kierunku przeciw Kościołowi katolickiemu, p. Rostworowska rzuca szereg nadzwyczaj słusznych i jasnych poglądów na kwestyę kształcenia kobiet.

„O ile przyrodzonych sił i rodzinnych obowiązków nie przekraczają, o tyle wyższe studia mogą im wyjść na korzyść.“ Ale czy wyraz *wyższe* studia jest dokładnem określeniem, czy nie lepiejby było powiedzieć *głębsze*, bo tu głównym celem być winno pogłębienie wiedzy, nadanie jej powagi. Trzebaby rozbrat wziąć z tą powierzchownością, która cechuje dzisiejsze kształcenie dziewcząt. Trzebaby nauce, dawanej im, odjąć tę cechę przykrego zadania i nudnego, doprowadzając do tego, że każda z nich prawie z niesmakiem

i z niechęcią odbywa to *pensum* i z rozkoszą myśli o chwili, gdy się z tego wydobędzie. Czegobądź panny się uczą, niech się uczą poważnie, na seryo i na długo, niech się nie uczą z obowiązku, ale z zamiłowania do pracy. To jest główne i niezbędne. Niech program ich nauki będzie taki, by one nie obciążały umysłu zbyt ciężkim balastem, by nie wbijały sobie w głowy fakty, formuły, daty, których nie rozumieją, tylko machinalnie, jak papugi, mają w pamięci.

Studia wyższe? Owszem, i do nich kobiety winny być dopuszczone. Ale czy w dzisiejszej formie studia te rzeczywiście kształcą. „Prąd za swobodą nieograniczoną jest bardzo silny. Jest w tym prądzie znaczna przymieszka tego, co Francuzi nazywają *engouement*. Zdarzyło nam się spotkać słuchaczki takie: do nauki zapalone, widocznie pracowały, i to jak same twierdziły, pilniej od męskich kolegów; wszelako rozwinięcia szerszego, sądu wytrawniejszego w kwestyach, dajmy na to historycznych czy literackich nie zauważyliśmy, i to nas utrwaliło w sądzie, że dla kobiety zwłaszcza, nauka sama nie wystarcza, że ważniejsze jest dla niej otoczenie rozumne, sfera wyższa, z której jak roślina bierze więcej i rozwija się lepiej, niż z samego naukowego gruntu. Natomiast u naszej słuchaczki wieczorki koleżeńskie, na których młodzież żeńska spotyka się z zupełną swobodą z męzką, zostawiły widocznie bardzo łube wspomnienia. Nie mamy tu na myśli rzeczy zupełnie zdrożnych, owszem sądzę, że wiele tu bywa z obu stron prostoty i naiwności, wszelako w tych rozmowach i sądach (zwłaszcza o sztuce), w tych żartach, bodaj że wiele stracą kobiecości, w porównaniu z tem, co zyskać mogą.“ Tak sądzi w tej kwestyi p. Rostworowska, a więc kobieta, która nie patrzy na rzecz „uprzedzonym“ okiem mężczyzny.

W ogóle cała sprawa uniwersyteckiego wykształcenia kobiet jest jeszcze w procesie tworzenia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dojdzie jednak z czasem do ustanowienia osobnych kursów dla kobiet. W wyższych studiach kobiety nie powinny szukać rozgłosu uczoności, bo do pierwszorzędnym w tym rzędzie stanowisk umysł ich się nie nadaje, ani na polu czystej nauki i wynalazków, ani w sztukach, kobiety przodownicami ludzkości nie były i nie będą.“ Oto znów zdanie kobiety, a nie mężczyzny, i to zdanie całkiem słuszne. Bo w wyższem wykształceniu kobieta szukać winna albo przygotowania do pracy zawodowej dla zarobku, albo też rozwijania umysłu i wiadomości, które wyzyskać się dadzą w jej rodzinnem i społecznym życiu. Żona, a zwłaszcza matka gruntownie wykształcona, inne ma stanowisko w rodzinie, ma odporność na zdania i poglądy, które czyta i słyszy, nada odpowiedni ton otoczeniu, w którym żyje i odpowiedni kierunek dzieciom swoim. Że w tym pościgu za wiedzą niejedna utraci niektóre cechy kobiece,—to pewne. Ale na to zdecydować się trzeba; czasy przyszłe zcierać będą te cechy coraz więcej...

Zresztą żyjemy w realistycznej epoce. Strasznie realne kwestye są na porządku dziennym życia społecznego i pełno ich w książ-

kach, rozmowach i dziennikach. I z wielką trafnością wskazuje p. Rostworowska jeden z ważnych czynników, wpływających na rozwój intelektualny dorastającej kobiety: „Panienska, która widziała „Tkaczów“ Hauptmana, „Otchłań“, „Wesele“, a może i „Potęgę ciemności“ Tolstoja,— bo gdy o teatr chodzi, to nasze matki są bardzo liberalne—taka panienska już z wieloma brzydociami i nędzami życia zabrała znajomość. Czy ta znajomość służyć ma jedynie do zaspokojenia niezdrowej ciekawości, a u progów rzeczywistych nędz życia ustawać? Nie sądzę. Pragnę szczerze, aby nasze córki zachowały jak najdłużej ten urok niewiadomości, który, jak pył na owoc, raz starty, nie powraca,—ale w takim razie bądźmy logiczni i nie dopuszczajmy żadnych tych wpływów, które go zdmuchnąć muszą. A jeśli sądzimy, że to zbyt trudno, że jeśli nie książka, nie teatr, to pierwsza salonowa rozmowa czy im otworzy na wiele smutnych objawów społecznych, to radzę wam, matki, nauczyć je same i patrzeć i nie dopatrzeć się i słyszeć i nie usłyszeć,—nauczcie je słowami Woronicza do polskiej dziewczycy:

Jak z pożeranych płomieni wyniść bez obrazu,
Tonąć w świecie, a świata nie naciągnąć skazy.

Nie kryjąc przed nią, że zło jest, że się z niem spotkać może, stopniowo przygotujcie jej serce, nie wyobraźnię, jej duszę, nie zmysły i nerwy do świadomości, a potem do walki ze złem, do popierania dobrego, do czynnej odwagi, nie tylko do biernej cierpliwości. Dajcie jej balast wiedzy, o ile umysł jej strawi, a siły fizyczne znieść go mogą, ale dajcie jej nade wszystko *grunt wiary*. Niechaj wszelkiej nauki, wszelkiej wiadomości osią będzie wiara, nie ślepa — przeciwnie, wsparta całym rusztowaniem nowej nauki, wszystkimi zdobyczami ludzkiego rozumu, a takiej wiedzy nie lękajmy się dla niej.“

Tak pięknych i trafnych słów kobiety o wychowaniu kobiecym, o przygotowaniu do życia młodej generacji, nie słyszeliśmy dawno, bardzo dawno.

Daremna rzecz. Młodzież kobieca rwie się do nauki, do kształcenia się. Miedzy nią, a tym nowym światem, w którym ona żyć będzie musiała, muru nie da się postawić. Nie da się wtłoczyć jej gwałtem w szablony salonowych lalek, bo dla tego typu w najbliższej przyszłości już miejsca nie będzie. Więc dać trzeba tej przyszłej kobiecie tak silne podstawy chrześcijańskie, by żadne argumenty, żadne sofizmaty, żadne zwątpienia ich nie zachwiały,— a potem niech szukają wiedzy i gdy tę wiedzę zdobędą, niech służą społeczeństwu, jako nauczycielki, lekarki, zakonnice, misyonarki, pracownice, a przede wszystkim, jako matki.

Bo z niezmierną słusnością woła w końcu pani Rostworowska: „Nie dopuście kobiecie chrześcijańskiej i polskiej, aby zagnieździć się miał w naszym społeczeństwie ten straszny i ohydny zanik zmysłu macierzyństwa, który już, niestety, często u młodych kobiet spotykamy!... Mówcie córkom, że macierzyństwo jest ogólnym zadaniem kobiety, że małżeństwo zwłaszcza, nie świat, ale rodzina jest celem— i końcem, rozwijajcie w nich potęgę miłości we wszystkich przejawach swoich. Niech ko-

chają wszystko, co wielkie i piękne: Boga i kościół, ludzi, kraj, rodzinę i niech przyjdą same do tego poczesnego w społeczeństwie miejsca, które im Bóg wyznaczył, a stary wróg za pomocą złych sił tego świata wydrzeć im usiłuje.“

Okszyca.



Z ŻYCIA.



— Matulu, wstążkę czerwoną w mieście mi kupicie.

— A bo mało masz jeszcze tego, córuś?

— Pewnie, że nie mało, ale wstążek nigdy za dużo. Kupicie?

— Dobrze, Jewka. Jabym ci i świat cały kupiła, złoto ty moje!

— Kochacie mnie?

— Juści.

— Bardzo?

Nie było odpowiedzi, jeno dwoje starych, wychudłych ramion objęło dziewczynę. Ale ona wysliznęła się, wołając z pustotą i śmiechem srebrzystym:

— Puście matuś, bo jeszcze udusicie!

Strząsnęła nagle, wdzięcznym ruchem głowy długie, płowe warkoczki i kończyła wesoło:

— Koralików mi też ze trzy sznurki przyniesiecie: niebieskich, białych, zielonych; fartuszek perkalowy w paski i chusteczkę szalinową na głowę, dobrze?

Gwarzyła swobodnie, patrząc przed siebie śmiało, bystre oczy, w których przebijają się dusza niepodległa i harda. Znać, dziewczyna do rozkazowania przywykła i nie umiała prosić pokornie, nawet matki rodzonej.

Jedynaczką była, rozpieszczoną i samowolną nadmiernie, a przytem najpiękniejszą dziewczką we wsi całej. Przywykła do hołdów; gdzie się obróciła, tam szły za nią oczy, jakby za słońka promieniem, i serca za nią szły, gorące serca wiejskiej młodzie do kochania skore.

Przysyłali do niej swaty często gęsto—ona nie chciała nikogo. Nie chciała, pomimo urody i zamożności gospodarskich synów, którzy się o nią ubiegali. Mawiała, że jej za dobrze i za swobodnie w chacie przy matuli, aby dobrowolnie, tak rychło, w niewolę miała iść.

— Nie pilnego. Co się odwlecze, to nie uciecze.

I rzeczywiście, nie było nic pilnego, bo Ewka Pilisówna kończyła zaledwie siedemnastą wiosnę w tym roku.

Tymczasem lubiła się bawić do zapamiętania, tańcować do upadłego; lubiła się stroić i śpiewać. To ostatnie wszakże najwięcej przypadało jej do gustu, bo głos miała niezwykły, niby dzwonek srebrny: donośny, wysoki a czysty. Kiedyś, jasnie dziedziczka sama, słysząc ją śpiewającą w sadzie, przyszła słuchać i dziwowała się wielce, jakim sposobem taki głos mógł się znaleźć w naszym kraju i to, wśród szarego tłumu nieokrzesanego chłopstwa? Powiedziała, że jej głos nazywa się jakiś „sopran“, ale ona, Jewka, nie rozumiała, co to znaczy. Obraziła się nawet w duszy, gdy pani wspomniła odchodząc, że może kiedy wyszła ją do wielkiego miasta i każe uczyć śpiewać.

— Jaktó — myślała, — zali ja śpiewać nie umiem? Zali potrafi która tak, jak ja?

I powiedziała dziedzicze otwarcie i hardo, że do żadnego miasta nie pojedzie.

Dobrze wiedziała, że śpiewa cudnie, jak ów słowik w olszynie nad strugą, i dumna była z tego. A jakich ona piosenek nie umiała? Najlepiej lubiła:

„Matulu moja, śliczną córe masz,
Oj, nie wydawaj byle za jakiego,
Jej urody żal.
Bo jej uroda, jak bystra woda,
A jej liceńka śliczne przekwitają,
Jak w sadzie róża.
Ja różę zerwę, nie będzie rosła,
Już też i moja zielona dróżka
Cierniem zarosła...“ i t. d.

Myślała wówczas, że jakoby o sobie śpiewa, i rozrzewniała się, a łzy, niby krople porannej rosy osiadały na jej pobladłych od wielkiego wzruszenia jagodach.

Czasami znowu nuciła inną piosnkę:

„Nie wypędzaj wolków w pole,
Boś mi niemiły.
Bo nie będą twoje wolki
Z memi chodziły...“ i t. d.

To więcej odpowiadało jej bujnej, despotycznej nieco i przekornej duszy. Twarz nabiegała rumieńcem, oczy świeciły ogniem. Była to Jewka, najpiękniejsza ze wszystkich dziewcząt we wsi, „strójka“, zalotnica, bałamutka, co nie chciała nikogo, aby mieć wszystkich u swoich nóg.

W gruncie jednak nie była zła, a matkę starą kochała nawet bardzo i pomagała jej ochoczo w gospodarce. Zimą do dworu biegła na robotę w stodole i gumnach, choć Bogiem a prawdą, to więcej tam było żartów i śpiewek wesołych, niż pracy.

Dzisiaj właśnie matulę do miasteczka wyprawiając, sama do dworu poleciećby rada od południa. Oj, będzie tam gwarno, będzie!...

Pilno jej było bardzo, bo i przebrać się przystojniej musiała, więc jęła matkę do drogi przynaglać:

— Idźcie już, matulu, do miasta, idźcie już, bo i mnie do roboty spieszno!

— A co to u was jeszcze młocka nie ukończona? Toć-że to wiosna?

— Owies jeszcze. Dziś mamy kończyć. Pójde.

— Ostałabyś dzisiaj w chacie, Jewka, posiedziałyś trochę spokojnie.

— Niby to ja mogę spokojnie usiedzieć! — zaśmiała się dziewczyna.

— Oto macie algierkę, matuś, oto chustkę dużą; a nie zapomnijcie czasem o moim fartuszkach, koralikach, wstążce czerwonej, chustce szalinówce w różane kwiaty — hej!

Klasnęła w dłonie, aż echo po izbie poszło, skoczyła do komory ubierać się i wiążąc wstążki u płowych warkoczy, wołała jeszcze za odchodzącą:

— A nie zapomnijcie, matuś, podarków!

* * *

W chwilę potem biegła już drogą do dworu.

W powietrzu czuć było pierwsze tchnienia wiosny. Nad czarnym, rozmiękłym obszarem pól dzwoniły radośnie skowronki. Wiatr był jeszcze chłodny i przynosił dziewczynie zapach wilgotnej, świeżo poruszonej pługiem ziemi, ale słońce, jako to w południe, dogrzewało już mocno. Miejscami, po głębszych rozpadlinach leżał jeszcze szary śnieg, ostatnie zimy niemiłe wspomnienie. Na drodze świeciły gęsto wielkie kałuże wody i błoto było wszędzie do kolan niemal.

Jewka biegła szybko; uniósłszy nieco czerwonej spódnicy, skakała zręcznie po dużych kamieniach, wzdłuż drogi ułożonych. Było jej tak jakoś lekko i wesoło na sercu, jak nigdy.

Ta wiosna, co szła ku niej przez czarne pola, ciche, martwe jeszcze bory i łąki wodą zalane, przemawiała do jej prostej duszy potężnym głosem, a raczej tysiącem głosów, upajała dziewczynę i rozmarzała ogromnie. Ogarnęło ją szalone jakieś pragnienie, które sformułowała sobie w jednym słowie: „żyć“, a potem w drugim „kochać“. Czuliła w sobie wiosnę swoich siedemnastu lat, więc nie dziwnego, że z wielkim utęsknieniem wyciągała ręce do szczęścia.

Tymczasem ukazały się dworskie budynki; huk młocarni dolatywał wyraźnie. Robotę poobiednią zaczęto — spóźniła się.

Stała, chwilę wahała się: iść, czy wrócić do chaty? Ale ze stodoły dobiegły ją śmiechy dziewczek i żarty parobczaków, a potem nuta dobrze jej znanej piosenki. Pokusa była zbyt silna. Więc skoczyła ile tchu w pierśiach, wpadła w rozwarłe wierzeje i krzyknęła na powitanie:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! — odrzyknięto jej chórem i wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom. A ona stała tam uśmiechnięta, zdyszana, promienna, podobna do kwiatu i do wiosny, której miała duszę pełną.

Zaczęto wołać:

— Piękna Jewka, strojna Jewka, kieby róża, kieby maj!

Zaśmiała się, rada z uwielbienia, które jej rzucano pod stopy.

Rozejrzała się w około i bez chwili namysłu, aby skrócić sobie drogę na drugą stronę stodoły, skoczyła ku miejscu, gdzie wielkie koło zębate kręciło się ze zgrzytem.

— Jewka! Co robisz, la Boga!

Nie słyszała. Była już przy młocarni, w wązkiem przejściu między kołem zębata a ścianą... już... już przeszła... nie. Warkocze długie zaplątały się w maszynę, dziewczyna szarpnęła się z całych sił, potem zachwiała się, potem krzyk trwogi zamarł jej na bladych z przerażenia wargach — padła na koło.

Trwało to wszystko jedną sekundę.

Maszyna szła ciągle.

Nadbiegli ludzie, ale groza wypadku odjęła im mowę i ruch, byli jako posągi martwe. Dopiero kiedy krew ciepła obryzgała im twarze, oprzytomnieli, a raczej stracili do reszty przytomność. Powstał krzyk, hałas, biegania bez celu w tę i w ową stronę, zamęt piekielny...

Zatrzymano wreszcie młocarnię i wyjęto z pod koła jakiś bezkształt straszny, jakąś postać, co ledwie przypominała ludzką, zwinęta bowiem była, poszarpana, w kawały, ociekła krwią.

Dwóch parobczaków zebrało te ludzkie szmaty do kupy, w płachtę, brakowało jeszcze ręki, — znaleziono ją między trybami.

Potem wzięli płachtę za rogi i ponieśli...

W powietrzu czuć było pierwsze tchnienia wiosny... nad czarnym, rozmiękłym obszarem pól dzwoniły radośnie skowronki...

A oni szli bardzo wolno, stąpając po wielkich kamieniach wzdłuż drogi ułożonych i znacząc swój pochod ciemnymi strugami krwi.

* * *

Kiedy złożono ją w chacie na łóżku, zesłły się kumoszki lamentując i płacząc, a ponieważ żyła jeszcze i rzeziła strasznie, więc jeden z sąsiadów pojechał o cztery mile po doktora, a drugi, o dwie mile po księdza.

Umierającej nie dał na razie pomocy nikt; bano się nawet do łóżka przybliżyć, nie wiedziano, jak się do niej dotknąć. Baby usnęły się w kącie izby i przerażone, nie śmiały nawet płakać głośno. A ona, tam, konała samotna, nieprzytomna, i wiała się w mękach piekielnych.

Wtem — drzwi się z łoskotem otwarły i stała w nich matka dziewczyny...

Wiedziała już o wszystkim, włosy miała rozwiane, twarz siną, usta otwarte, wzrok obłąkany. Stała chwilę nieprzytomna, potem obie ręce wyciągnęła ku górze, z jakąś siłą rozpaczoną załamała je nad siwą głową i jęła krzyczeć rozzwierającym głosem:

— Jewka — Jewka — Jewka!...

A krwawe, ludzkie szmaty, poruszyły się gwałtownie na łóżku i coś, jakby jęk, jakby kwilenie po izbie poszło:

— Matuluuu....

Potem zaległa chatę głucha cisza...

Ewka Pilisówna skoła.

* * *

Wieczór był...

Na senną ziemię kładły się blade, drżące smugi księżycy. W górze świeciły miryady gwiazd. Ludzie szli na spoczynek po znojnym dniu. Niektórzy wszakże jęli się schodzić do Pilisowej chaty, aby noc całą przespiewać nad umarłą.

Przy ścianie, pod obrazami, stał tapczan kilimkiem okryty, a na tapczanie leżała dziewczyna w bieli.

Dziwnym trafem twarz jej uszła zmiażdżeniu i świeciła biała i piękna pośród zwojów welonu. Nie było na niej śladu mąk przebytych, jeno jakaś surowa, bolesna zaduma na czole osiadła; usta zaś lekko sine, zdawały się uśmiechać...

Towarzyszki jej przyniosły dużo pierwiosnków i ubrały niemi płową główkę zmarłej. A tak, wyglądała wśród tych leśnych kwiatków, sama jak biały, leśny kwiat...

Po drugiej stronie chaty, wedle starego obyczaju, zastawiono obfity posiłek dla sąsiadów, którzy mieli w nocy i we dnie nad umarłą śpiewać, aż do pogrzebu.

Przy tapczanie zaś, na ziemi, klęczała Pilisowa, i obejmując konwulsyjnie stopy córki, starodawnym, chłopskim zwyczajem, zawodziła głośno, niby jęcząc, niby śpiewając:

„Odeszłaś ty ode mnie, słonko moje,
I porzuciłaś mnie sierotę, porzuciłaś.
I cóż ja teraz pocznę bez ciebie?
A któż mi izbę zamiecie?
A któż mi w kominie napali?
A któż mi wody przyniesie?”

Odeszłaś ode mnie, kochanie moje,
I podarków ci moich nie trza,
Ani chustki szalinówki, ani paciorków,
Córeńko moja!”

Tu porwał ją płacz ogromny i jak wicher jął wstrząsać pierśią zapadłą...

A ona, Jewka, leżała sobie tam, wśród kwiatów leśnych, cicha i uśmiechnięta, ze swoją cudną, zadumaną twarzą, i na prawdę, nie już nie chciała od matki, ani od świata całego — nic.

Janina Glogerówna.



Prawdziwość Świętego Całunu.



Niezmiernie ciekawą kwestyę roztrząsano na posiedzeniu Akademii Umiejętności Paryskiej w d. 21 kwietnia r. b.

Zajmowano się wysłuchaniem i dyskusją nad memoriałem, opracowanym przez profesora Sorbony, p. Yves Delage, przedstawiającym rezultaty naukowych i technicznych badań, co do możliwej prawdziwości odcisniętych na płótnie Świętego Całunu zarysów postaci i ciała Jezusa Chrystusa.

Jak wiadomo, relikwia ta przechowywaną jest w Turynie i znaną w Europie dopiero od r. 1353.

Nadzwyczajnie rzadko bywa ona wyjmowaną z szkatuły opieczętowanej, w której jest zachowana. W roku jednak 1898 była odfotografowana. Przedstawia ona kawał lnianego materiału, pożółkłego przez czas, mającego 4 metry 10 ctm. długości, a 1 m. 40 ctm. szerokości. Na jego tle są zarysy i kontury

odbitej postaci całego ciała, jego pojedynczych części i twarzy.

Badanie ze stanowiska *ściśle naukowego i technicznego* dotyczyło pytania: czy zwłoki, zawinięte przy pewnych szczególnych warunkach, w takie płótno, mogą się na niem w zarysie swym odbić.

Badanie to, bardzo subtelne, przeprowadzone było przez preparatora Sorbony, p. Pawła Vignon, na podstawie czego, professor Delage przedstawił Akademii Paryskiej swoje sprawozdanie. Oto jego wyniki i wnioski, — pod każdym względem bardzo ciekawe, a dla społeczeństwa Chrześcijańskiego szczególnie zajmujące:

Studia, przeprowadzone przez p. Vignon, oparte były na fotografii, zdjętej z tego zabytku w 1898 r.

Pierwszym faktem uderzającym jest, że rysunek na Świętym Całunie odbity jest negatywą. Wzięta z tej negatywy negatywa wydała pozytywę, której zarysy wyobrażają skład ciała dziwnie kształtny i twarz szczególnie piękną.

Pierwsze wrażenie, jakiemu się ulega, jest, jakoby rysunek ten był dziełem ręki malarza lub rysownika; przypuszczenie takowe upada jednak po bliższej rozprawie.

Przedewszystkiem dlatego, że żaden rysownik lub malarz XIV wieku (gdyż od tego dopiero czasu poczyna się wiadomość o tej pamiętce) nie potrafiłby wykonać tak doskonałej artystycznie rzeczy, pod względem anatomicznym. Następnie, zadziwia tutaj nadzwyczajna prawdziwość realna w drobniactwach szczegółach.

Kiedy dawni a nawet nowi malarze przedstawiają krople krwi spadające z pod ucisku korony cierniowej, w formie spadających z pewnej wysokości kropli, — tutaj, ukazują się one, jako plamy zmarszczone, rozpluwające się i powoli nikiące.

Znaki ran od gwoździ ukazują się na odbiciu Świętego Całunu nie w środku dłoni, jak to zwykle malowidła przedstawiają, lecz u podstawy kości ręcznej.

Znamiona biczowania inaczej się także przedstawiają, aniżeli to bywa zwykle na obrazach. Są wszystkie zwrócone w jednym kierunku, a mianowicie w kierunku ramienia biczującego oprawcy. Na krańcach swych wydają się wyraźniejszymi plamami, odpowiadającymi guzikom metalowym, którymi zakończone były powrośla biczowników.

Ślad wreszcie rany w boku jest na Świętym Całunie po stronie lewej, ponieważ odbicie się jej z prawej strony ciała przeszło na stronę lewą płótna.

Z tych przeto powodów, jak również z powodu, że zarysy ciała są w całkowitej przedstawione nagości (czego by, ze względów przyzwoitości, żaden malarz sobie nie pozwolił, — można być pewnym, że odbicie zarysów na Świętym Całunie Turynskim nie powstało z ręki malarza.

Wobec tych uwag, postawił sobie preparator laboratoryjów Sorbony, p. Vignon, pytanie następujące: Jakim sposobem można sobie wytłómaczyć, że zwłoki ciała, zawiniętego w całun, mogą tak dokładne i szczegółowe zarysy swoje na nim odbić?

Po ścisłych i długich badaniach, przyszedł on do następujących wniosków.

Jeżeli natychmiast po śmierci człowieka, który bardzo cierpiał, zawiniemy jego zwłoki w płótno nasycone oliwą i aloesem, to mieszanina podobna wywoła zabarwienie różowe takie, jakie się widzi na Świętym Całunie.

Różowe zabarwienie powstaje zaś skutkiem chemicznego rozkładu aloesu, pod wpływem pary amoniakalnej, powstającej przy wszelkich wydzielinach potu gorączkowego.

Ażeby to się stało, potrzeba pewnych warunków szczególnych, a mianowicie: żeby zjawiały się wypociny gorączkowe i żeby płótna były nasycone taką mieszaniną bezzwłocznie po śmierci, pierwej, zanim wypociny zdołały się ulotnić albo być usunięte przez obmywanie się czy też innym sposobem. Potrzeba również, żeby zwłoki nie pozostawały w obwinieciu aż do czasu ich rozkładu.

Na powyższych opierając się badaniach i wnioskach, można było ustanowić naukowe twierdzenie, że Turyński Całun Święty przedstawia odbicie się na płótnie zarysu ciała mężczyzny w sile wieku, ukrzyżowanego, biczonego, okaleczonego koroną cierniową, mającego ranę w boku przekłutą, bezzwłocznie po śmierci obwinieciu w płótno, nasycone oliwą i aloesem, jak to było w starożytności Judei zwyczajem przyjętym przed dziewiętnastoma stuleciami, i że w tym stanie zwłoki nie pozostawały dłużej nad kilka dni.

Wszystko to razem rozważywszy, porównawszy i mając na pamięci świadectwo biblijne, przychodzi się do ostatecznego wniosku, iż rzeczywiście przechowywany w Turynie świątobliwy zabytek tak zwanego *Świętego Całunu*, jest prawdziwym i nawet naukowo teraz udowodnionym odbiciem się zarysów postaci Chrystusa.

Na poparcie tych wielowiekowych tradycji i wiary przyszła więc z kolei ścisła nauka i umiejętność, ze swoim świadectwem, aby zadać kłam tylu dekadentycznym teoryom, jakoby nauka i wiara nigdy się ze sobą nie godziły.

A. Bialecki.



Genialny robotnik.



(René Valter Radet: „La vie de Louis Pasteur“).

Dziewiętnasty wiek zamknął swój bilans z niejednym być może niedoborem, lecz słusznie dumny z wielkich naukowych odkryć, którymi zabłysnął w dziejach cywilizacji, dumny z nieśmiertelnych ludzi, których imiona zapisał w historii umysłowego rozwoju ludzkości.

W tym wspaniałym pochodzie bohaterów myśli, oddaje Francja palmę pierwszeństwa zmarłemu w roku 1895 Ludwikowi Pasteur'owi. René Vallery Radet świeżo wydał książkę, w której, reasumując umysłowy dorobek wielkiego męża, usiłuje uwydatnić nie tylko zjawiskową genialność Pasteur'a, lecz także i niezmordowaną, fenomenalną jego pracowitość. „Tą cechą swego charakteru—mówi francuski

autor—będzie ów „genialny robotnik“ świecił po wsze czasy, jako jasna pochodnia ludzkości—bo tym śladem wielcy i mali iść mogą i muszą.“

„*Ora et labora*“ uczy Pismo Święte. Każdy z nas w tym lub innym kierunku, na szerszej lub ciasniejszej arenie musi pracować, musi wypełnić w całości życiowy swój program.

Genialnym umysłem Pasteur'a obdarza natura nieliczne, wybrane swe dzieci — ale wytrwale, niezmordowanie dążyć do zamierzonego celu wbrew trudnościom i przeszkodom—może i powinien każdy myślący i społeczeństwo swe kochający człowiek.

Z tego punktu widzenia jest też biografia Pasteur'a wielce pouczającą dla szerokiego ogółu.

Wielki uczonej ujrzał światło dzienne w 20-letnich latach minionego wieku, w nędznej izdebce swojego ojca, bardzo ubogiego garbarza. Rodzina Pasteur'ów nie mogła chlubić się antenatami, — dziadkowie, prości chłopi, czytać i pisać nie umieli—rodzice Pasteur'a również do niższych społecznych należeli warstw. Otoczenie ich było zwykłym otoczeniem najuboższych. Mieszkali w suterynie: pod małym okienkiem leżał stos skór, wydzielających ostrą, niemłą woń. Zapadły prowincjonalny kąś, rozrywek żadnych, żadnego umysłowego bodźca, wszelkie warunki, jednym słowem, wśród których zwykły śmiertelnik, miast się podnieść, w jeszcze głębszą stacza się nieraz przepaść.

W dzieciństwie nie okazywał mały Ludwik wybitnych zdolności naukowych. W szkółce, do której uczęszczał, za ledwie średnim był uczniem. Ulubionym jego zajęciem w owe czasy było rysowanie kolorowymi ołówkami.

W osmnastym roku życia zdobył, nie bez trudu, patent dojrzałości — ze złym stopniem z matematyki, a miernym z chemii. Dano mu posadę pomocnika nauczyciela w Besançon.

Pasteur postanowił przygotować się do wyższego naukowego zakładu. Pobierał rocznej pensji 300 fr.—i z tych pieniędzy płacił jeszcze za naukę swej młodej siostry. Widmo biedy nie przerażało go, widział przed sobą jasno określony cel; niezłomną siłą woli zamierzał wojować i zwyciężać w życiu.

Pierwszy egzamin w szkole normalnej doznał zupełnego fiaska. Pasteur nie zraził się niepowodzeniem, odłożył egzamin na rok, a dla zarobku przyjął posadę korepetytora w jednej z paryskich szkół.

Od tej chwili zaczyna się gorączkowa jego praca. Wstaje o godzinie piątej, pracuje nad sobą dorywczo, w chwilach wolnych od obowiązkowych zajęć, wśród gwaru i szumu bawiącej się młodzieży, bo nie ma nawet własnego pokoju. Uczęszcza też, o ile można, na wykłady znakomitego chemika Dumasa.

Po roku ciężkiej pracy jest wreszcie studentem Szkoły Normalnej. Pozwala sobie na niesłychany zbytek, kupuje za ośm franków żelazny piecyk do swej zimnej izdebki i mały dywanik pod nogi. Po wykładach chodzi codziennie do biblioteki i do laboratorium. O teatrze nie myśli wcale.

Niezgrabny, chorobliwie nieśmiały student Pasteur, opanowany płomienną żądzą wiedzy,

nie uczęszcza na zebrania, do żadnych koleżeńskich nie należy zabaw. Z kolegami rozmawia tylko o kwasach i solach. Przyjaciel jego, Chapui, studyował filozofię, a musiał całe godziny wysłuchiwać hymnów uwielbienia na cześć chemicznych produktów.

— I co ci przyjdzie z tej filozofii? — mówił Pasteur—przerzuć się na chemię i fizykę, a dokonamy z tobą olbrzymich przewrotów w nauce!

Młody chemik „żadnej naukowej prawdy“ nie wierzył na profesorskie słowo—sam wszystko badał, sprawdzał doświadczeniami.

Jedynym łącznikiem z zewnętrznym światem były dla niego listy do rodziny, którą gorąco kochał. Po za tem—istniała dla niego tylko jedna nauka.

— Kryształy — to pierwsza miłość Pasteur'a — śmieli się z niego kolledzy.

Pracował właśnie namiętnie nad kryształami, gdy mu ofiarowano posadę nauczyciela na prowincyi. W klasie Pasteur'a było 80 uczniów. Przy końcu pierwszej lekcji zauważył nauczyciel znużenie i znudzenie na młodych twarzyczkach. Aby podtrzymać słabnącą uwagę młodocianych słuchaczy, postanowił każdą lekcję urozmaicać doświadczeniami.

Młody, światły pedagog daje nam wtedy już przykład niezmordowanej pracy. Do każdej lekcji „z dziećmi“ przygotowuje się długo, sumiennie.

— Bez tej przygotowawczej pracy byłby mój wykład zły i niejasny — tłumaczył kolegom, których w zdumienie to „bezczelowe marnowanie czasu“ wprowadzało.

I w późniejszych już czasach, gdy jako jasna gwiazda świecił na wszechświatowym naukowym horyzoncie, przypisywał swe wielkie odkrycia nie tyle swym genialnym zdolnościom, ile swej żelaznej woli i ciężkiej, chwili wytchnienia nie znającej pracy. „Te proste, jasne wnioski są owocem wielu bezsensownych nocy.“

Dzięki staraniom swych profesorów, którzy dostrzegli w młodzieńcu „iskrę Bożą“, otrzymuje młody Pasteur katedrę chemii w Strassburgu.

Proste, na pozór, to zdarzenie odegrało rozstrzygającą rolę w życiu człowieka i uczonego. Czem był i pozostanie Pasteur dla nauki i ludzkości — wie już dzisiaj niemal każde dziecko. Ale mało komu może wiadomo, że potężną dźwignią i nigdy nie słabnącą podporą w nieśmiertelnej pracy wielkiego człowieka, była dożgonna życia jego towarzyszka — młoda dziewczyna, którą Pasteur wkrótce po swoim przyjeździe do Strassburga poznał i poślubił.

Niepospolitego umysłu i serca kobieta, pani Pasteur, rozumiała, kim był jej mąż i do jakich celów Bóg go powołał; była przez czterdzieści sześć lat wierną kapłanką domowego jego ogniska i naukowej jego świątyni. Zespoliła się myślą i sercem z ideałami i dążeniami wielkiego swego małżonka. I kto wie, czyby nie były nieraz ustawały w potężnym swym locie nauki te orle, ku niebotycznym wyżynom rwące się skrzydła—bez swego cichego, niestrudzonego współpracownika—gorąco kochającego kobiecego serca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODCZYTY.



Atanazy Bardzki: „O umysłowej pracy kobiet.“

W niedzielę, t. j. 27-go z. m., p. Atanazy Bardzki rozpoczął szereg odczytów o umysłowej pracy kobiet. Odczytów ma być pięć, z których każdy, prelegent rozłożył na dwie części. Praca obszerna, obejmująca poważne przyczynki do równouprawnienia pracy kobiet, sięgająca najdawniejszych czasów.

Po przytoczeniu cytaty z utworu Deotymy o stanowisku kobiety, prelegent w pierwszej części odczytu mówił o nierównym stosunku kobiety do mężczyzny, przedstawiając historyczny pogląd na ów stosunek.

Szły więc po kolei: patryarchalne czasy w Judei, historia kobiet w Chinach, Indyach, Grecji i w Rzymie, który wytworzył wzniosły typ matrony starożytnej, spaczony potem, zatracony przez zbytek i rozpustę.

Era chrześcijańska stanowiła obszerną część odczytu. Po tej, przeszedł prelegent do czasów średniowiecznych, rycerskich, w których to czasach obudził się kult dla kobiety, nie przyznający jej atoli innego prawa, nad prawo siły wdzięków.

Wielka rewolucja dopiero wywołuje w kobietach pragnienie równouprawnienia, pragnienie owo jednak, sformułowane w żądaniu praw równych prawom mężczyzny, konstytuantą odrzuca.

Nieco później, Napoleon w kodeksie swym, postępuje z kobietami wprost bezlitośnie i rozwiiera wszelkie marzenia o równości praw, jakie rewolucja obudziła.

Jako główny powód ruchu emancypacyjnego kobiet XIX stulecia, uważa prelegent ewolucję ekonomiczną. Walka o byt musi zatrzeć różnicę płci na polu pracy. Szkoda tylko, że cały odczyt w ogóle, tę zaś część w szczególności, prelegent najeżył zbyt wielką obfitością cytat i nazw. Nie rozjaśnia to przedmiotu, lecz przeciwnie, tworzy pewien chaos.

Obok powołania żony, matki, kobieta, jak mówi Mańtegazza, musi stać się człowiekiem płci żeńskiej, — aby zaś stać się nim, musi osiągnąć wiedzę.

Modlić się i kochać, to jeszcze nie dosyć, trzeba umieć kierować i przewodniczyć, — a jak się wzięść do tego bez odpowiedniej wiedzy? Czegoż więc ma się uczyć kobieta? Wszystkiego, krótko, wszystkiego, co czyni człowieka, czego się uczą mężczyźni. Utylitarne i rozumne wychowanie jest dla dzisiejszej kobiety konieczne. Prawdziwie oświecona kobieta, bez fałszywego wstydu, spełniać będzie najprozaiczniejszą, pozornie najpodrzedniejszą pracę i płonną jest obawa, by oświecenie pozabawiło ją kobiecości.

Drugą część odczytu poświęcił p. Bardzki sprawie emancypacyjnej kobiet u nas. W krótkich słowach wspomniawszy o jej pionierkach: Hoffmanowej, Żmichowskiej, Dobieszewskiej, Dzieduszyckiej, Orzeszkowej, Prądzyńskim, Świętochowskim, — przeszedł do rozbiórki dzieła Stanisława Bronikowskiego o „Emancypacji i równouprawnieniu kobiety“ (1877) i na

ostrej, śmiałej powiedzieć, nadto rozwlekłej i drobiazgowej krytyce dzieła, które żadnym wybitniejszym wpływem na sprawę emancypacji kobiet u nas się nie zaznaczyło, prelegent odczyt pierwszy zakończył.

Drugi odczyt, wtorkowy, obejmuje treść, poruszającą kwestję nader na czasie będącą.

Zdaniem prelegenta, gorąco broniącego sprawy emancypacji kobiet, głównymi onej przyczynami są: postęp na wszystkich polach działalności ludzkiej, coraz szerzej ogarniająca masę żądza wiedzy i zmiana warunków ekonomicznych.

Dowodzenie, że macierzyństwo, dom i dzieci powinny jedynie i całkowicie zapełniać życie kobiety, upada wobec surowej powagi cyfr.

W samej Warszawie żyje 18,000 kobiet więcej, niż mężczyzn, w guberniach Królestwa przewyżka dosięga 300,000, w Galicyi 66,000. W innych krajach powtarza się toż samo, a we Francyi 5 1/2 miliona kobiet poszukuje zarobku.

Cały prawie odczyt wtorkowy poświęcił prelegent pracy ks. biskupa Niedziałkowskiego, p. t. „Nie tędy droga, szanowne panie.“

Czytelniczki moje pamiętają zapewne, że praca ta ukazała się w odpowiedzi na kwestyonaryusz, ogłoszony przez „Tygodnik ilustrowany“, a wywołany zdaniem o kobietach, wypowiedzianym przez znakomitego pisarza szwedzkiego, Strindberga.

P. Bardzki starał się odeprzeć poglądy szanownego autora, zaznaczając, że praca: „Nie tędy droga“ nie porusza bynajmniej wiary, ani religii, lecz jedynie sprawę społeczną.

Wreszcie, o ile mógł najdowodniej, obalał prelegent mniemanie, jakoby kobiety jedynie z kaprysu czy mody ucześniezały na wszechnicie, nie posiadały geniuszu twórczego i prawdziwego zamiłowania wiedzy, — szkoły zaś mieszane były nienormalne i szkodliwe.

Siła szczerzego przekonania i — cyfry, — były to czynniki, które niewątpliwie, jeśli nie zupełnie przekonywająco, w każdym razie łagodząco wpłynąć musiały na słuchaczy przeciwnego obozu.

Jako treść trzeciego odczytu, prelegent zapowiedział kwestję zarobkowania kobiet — kwestję zaiste doniosłości wielkiej i palącej.

— Z. S.



Na półkach księgarskich.



— *Höfding Harald, dr.*: **Etyka**, część II-ga. Warszawa, 1902. Wydawnictwo Biblioteki Samokształcenia. 8-o, str. 110.

Druga część znakomitej pracy Höfdinga zawiera w dalszym ciągu określenie zła z punktu widzenia etycznego; zło polega, według autora, na tem, iż w skutek gnuśności lub z uporu zachował się niższy stopień rozwojowy nawet wtedy, gdy powstała już świadomość możliwości wyższego stopnia rozwoju. Ztąd najpospolitszą przyczyną zła jest lenistwo, czyli opór przeciw zmianie stanu. Dalej autor rozwija teorię pomyślności, określając dobro, jako wszystko to, co będzie podtrzymywać i potęgować pomyślność danych istot, zwiększać ich zadowolenie lub zmniejszać ich cierpienia; sama zaś pomyślność jest to trwały stan uczucia przyjemności, polegającego na nieustannej pracy, działalności, rozwoju. Etyka dzieli się na indywidualną i społeczną. Na dawniejszych stopniach roz-

woju jednostka nie posiadała ani szczególnych obowiązków, ani praw, była składnikiem społeczeństwa; dlatego też pierwotna etyka jest społeczną. Współczesne dążności emancypacyjne nadają osobnikowi coraz większą osobistą swobodę w stosunku do form społecznych i za najważniejszy uważają jego świat wewnętrzny; ponieważ zaś osobnik jest samodzielnym członkiem gatunku, ale członkiem tylko, przeto etyka indywidualna rozwija się na tle społecznej etyki; pierwsza podporządkowuje się drugiej, nie stając się jednak przez to zbyteczną. Łącznikiem między temi dwoma rodzajami etyki jest podstawa oceny etycznej, — sympatya powszechna, oraz wspólna miara tej oceny, — dobro ogółu.

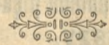
Etykę indywidualną, jako mniej złożoną, rozpatruje prof. Höfding najpierw w dziele swoim. Główną cnotą etyczną, której rozwój w danym osobniku jest równoznaczny z jego rozwojem etycznym, jest sprawiedliwość, która mieści w sobie dwie tak na pozór sprzeczne właściwości natury ludzkiej, jak samozachowanie, t. j. dążenie do rozwoju, do ujawnienia swoich sił i zdolności, oraz poświęcenie, dążenie do podporządkowania siebie, swoich interesów interesom ogółu. Szerokim rozpatrzeniem samozachowania, które się przejawia w trzech cnotach etycznych: samozachowaniu w ścisłym znaczeniu, panowaniu nad sobą i samodzielności, kończy autor II-gą część swojej „Etyki.“

— **Leon XIII-ty, żywot i prace.** Ks. A. Szlagowski, ks. dr. J. Radziszewski, ks. A. Zaremba i A. Rembowski. Duża ósemka, str. 314. Wydanie „Biblioteki dzieł chrześcijańskich.“

Redakcja „Biblioteki dzieł chrześcijańskich“ pragnąc upamiętnić rzadką uroczystość 25-letniego jubileuszu Papieża, którą świat katolicki obchodzi dopiero po raz wtóry, wydała osobne dzieło, poświęcone osobie Leona XIII-go, jego życiu i działalności. Ks. A. Szlagowski podaje wiele ciekawych szczegółów z życia papieża-jubilata, jak np. między innymi fakt, godny zaznaczenia, że w żyłach Leona XIII-go płynie krew gorącego przywódcy ludowego, który się kuśił o wskrzeszenie w XIV-ym wieku republiki rzymskiej, Coli di Rienzi, jest on bowiem założycielem rodziny Prosperii; z tej to rodziny pochodziła Anna Prosperii Buzi, żona Ludwika Pecci, a matka papieża. Syn Coli di Rienzi, Angelo, zmienił nazwisko rodowe na Prosperi, i przeniósł się do miasta Cori, z kąd pochodziła matka Leona XIII-go. Rozbiór dzieła Leona XIII stanowi część drugą tej nader zajmującej pracy, która zaleca styl ładny i język poprawny.

— **Podręcznik do Korespondencji kupieckiej** wychodzi w dalszym ciągu pod wspólną redakcją Władysława Kocent-Zielińskiego i Władysława Kierścia; pożyteczne to wydawnictwo ma [na celu ułatwienie poprawnego pisania listów kupieckich w językach: polskim, rosyjskim, francuzkim, angielskim i niemieckim, osobom władającym niezbyt biegle temi językami. Alfabetyczny układ polskiego tekstu umożliwia łatwe i szybkie odzyskanie odpowiednich wyrazów i zwrotów, a przystępna cena (20 kop. zeszyt) ułatwia zaopatrzenie się w ten pożyteczny podręcznik.

A. J.



ODPOWIEDZI.

— *Pannie H. W., Iskierce, Wł. Kar. i innym.* — Terminu do nadsyłania odpowiedzi nie oznaczamy, ale pragnęlibyśmy je zebrać jak najprędzej. Listy, zasługujące na to, wydrukujemy w całości, z innych podamy tylko wyjątki, a jeszcze inne w streszczeniu.

Treść numeru:

O powołaniach kobiety: Dozoreczynie chorych, przez Zofie Seidlerową. — Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Dalekie... (wiersz), przez Tadeusza Kończycza. — W kwestyi kobiecej, przez Okszyca (dokończenie). — Z życia, przez Janinę Glogerównę. — Prawdziwość Świętego Calunu, przez A. Białeckiego. — Genialny robotnik. — Odczyty Atanazego Bardzkiego «O umysłowej pracy kobiet, przez Z. S. — Odpowiedzi — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dokończenie opowiadania Winklera „W katedrze Bogarodziey.“

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 23). — Pogawędka gospodarska, oraz Tablica krojów.



Główny Skład
ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

Krakowskie-Przedmieście № 55 w Warszawie.

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Plócienka. — Kretony. — Batysty. — Satynki. — Dryliszki
na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne.

poleca również: **Gotową bieliznę damską i męską. — Pończochy. — Skarpety. — Płótna. — Stołową Bieliznę. — Ręczniki. — Chustki.**

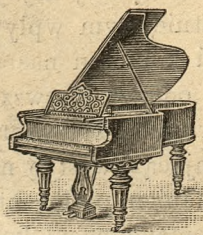
Dywany. — Firanki. — Portjery.

GOTOWE WYPRAWY od 100 Rubli.

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN



Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „**SYMPHONY**”
Pianino — „**CROWN**” 15

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon № 812.

Skład wyrobów gumowych,
Cerat i Środków opatrunkowych i Nowości.

G. EHLERT

Warszawa, Senatorska № 19.
I-sze piętro.

Poleca: **Wszelkie przyrządy chirurgiczne, Płótna gumowe pod chorych, Termometry, Barometry, Ceraty i Serwety na stoły, Szczoteczki do zębów, Grzebienie. Rakiety i piłki do Lawn-Tennisu. Oddział Fonografów** czysto oddających muzykę, śpiew i deklamację.
OBSEUGA ŻEŃSKA DLA PAŃ.

„ZORZA”

Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZAWA, WSPÓLNA № 45.

Dezynfekcja

i czyszczenie pierzy, włosów materacowych.

Ubrania po chorych etc.

Marszałkowska 33.

6-cio klasowy zakład naukowy żeński

S. TOŁWIŃSKIEJ

z dniem 1-ym Lipca 1902 r.

przeniesiony zostaje z ulicy

Chmielnej 48, róg Zielnej, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu przy

ulicy Ś-iej **BARBARY** Nr. 4.

Egzaminy przedwakacyjne dla nowostępujących uczennic trwać będą od 10 Maja do 4 Czerwca.

FUTRA

Przyjmuje i zabiera własną karetką bez dopłaty.

na letnie przechowanie

KUŚNIERZ

JAN RUDZIŃSKI

Marszałkowska 117.

OBICIA

PAPIEROWE

oraz odnawianie lokali, **TANIO!**

STEFAN LOBER

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

Pierwsza w kraju specjalna fabryka

WÓZKÓW

i WELOCYPEDÓW

Marszałkowska 53.

poleca: wózki dziecięce od rb. 6 — 60.

wózki trzykołowe dla dzieci mogących siedzieć od rb. 8 — 30.

welocypedy od rb. 5 — 15.

wózki fotele dla chorych najnowszych fasonów od rb. 25 — 100.

ENCYKLOPEDIJI STAROPOLSKIEJ

ILUSTROWANEJ.

Wyszedł tom II-gi

obejmująca wyrazy od D do K, a łącznie z tomem 1-szym około półtora tysiąca artykułów i przeszło 300 ilustracji i rysunków.

Tomy 3-ci i ostatni (4-ty) wyjdą w r. 1902-im.

Cena tomu w oprawie ozdobnej i trwałej, w księgarniach i redakcyi tejże Encyklopedyi (ul. Chmielna 59): rub. 3. Przy kupnie pierwszych tomów zalicza się na ostatni t. j. 4-ty rub. 1. Dla płacących razem za całość 4-tomową przed ukończeniem druku, ustępuje się z rub. 12-tu, rb. 1.

Osoby nie przesyłające pieniędzy, mogą żądać listownie (ul. Chmielna 59), wysyłki tomów oprawnych wskazując wyraźnie: nazwisko swoje, guberni, poczty i miejsca, a otrzymają tomy za zaliczką pocztową t. j. zapłatą przy odbiorze posyłki.

Album Sztuki Polskiej Cena w oprawie **Rb. 12.**

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu.

najlepszy przyjaciel żołądka.

Broszura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku, wysła się na żądanie.



Smak jego jest wymienny.

Compagnie du Vin Saint Raphaël

VALENCE, DROME, FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

Marya Matuszewska

Przełożona Pensyi VI-kl. żeńskiej

w Warszawie przy ulicy Leszno № 28 zawiadamia, iż egzaminy i zapisy uczennic na rok przyszły odbywają się od dnia 10 maja do 1 Lipca r. b.

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i kluczem, pod tyt.

SAMOUCZEK

Polsko-Francuski kurs I-szy kop. 1.20 — kurs II-gi kop. 3.20.

Gramatyka polsko-francuska kop. 1.20.

Polsko-Ruski kurs I-szy k. 1.40. kurs II-gi kop. 1.80.

Skład u autora, Warszawa, **Złota** № 6



M. SZAFRAŃSKA

powróciła z Paryża i poleca piękne modele kapeluszy.
Niecała № 1.

ZAKŁAD OGRODNICZY B. SOLNICKI

ul. Marszałkowska № 85.

POLECA wszelkie roboty Ogrodnicze jako i Bukieciarskie po cenach bardzo przystępnych. 17

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.

KRYNICA

dom „**POD WAWELEM**” na wzgórzu, naprzeciw łazienek borowinowych. Pokoje umeblowane z pościelą, usługą i całodziennym utrzymaniem.

Żeleszkiewicz i Kaczkowska.